

Nr 1 (96)

CZASOPISMO LITERACKIE

2024



ISSN 1732-1069



PEGAZ
LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM





CZASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI NR 1 (96) 2024

ISSN 1732-1069

Wydawcy:

Związek Literatów Polskich – Oddział w Gorzowie Wielkopolskim

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta

ul. Sikorskiego 107

66-400 Gorzów Wielkopolski

Redaktor naczelna: Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk

603 124 592 / agnieszka.moskaluk@gmail.com

Zastępczyni redaktor naczelnej: Beata Igielska

Skład: Sebastian Wróblewski

Korekta: Magdalena Turska

Druk: ZAPOL Sobczyk sp.k.

al. Piastów 42

71-062 Szczecin

Na okładce i w numerze prezentujemy fotografie Hanny Kaup z hospicjum w Wilnie, a także zdjęcia natury autorstwa Waldemara Gwizdały

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są dostępne online na stronie

www.wimbp.gorzow.pl

Zasady współpracy z „PL”

Przekazując materiały do redakcji kwartalnika literackiego „Pegaz Lubuski”, wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i wersji online;
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw autorskich osób trzecich;
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych, oraz że ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów;
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów oraz korektę merytoryczną i językową nadesłanych materiałów.

CHOROBA / NIEMOC

Na pozór wystarczy NIE. I kropka. Jakby w tej partykule mieścił się cały ból i niedomaganie stanów i emocji, o których (NIE) chce się gadać.

Bo skoro boli, uwiera, blokuje, to po co drażyć? Po co poświęcać więcej uwagi temu, że dopadła nas NIEmoc oraz inne NIEszczęścia, NIEpotrzebności i NIEchcenia?

Ale to tylko pozór. Bo człowieka wcale nie definiuje owo NIE, tylko to, co za nim. W każdej NIEmocy, tkwi MOC, a to znaczy, że jest nadzieja.

I ona właśnie jest prawdziwą bohaterką tego numeru „Pegaza Lubuskiego”.

CHOROBA i NIEMOC – jak żaden inny temat – wyzwoliły w Autorach i Autorkach niezwykłą wrażliwość i czułość. Teksty – czasem dotykające trudnych, osobistych doświadczeń, tragicznych historii i bolesnych przeżyć – poruszają i wzruszają. Mówią o sile miłości, determinacji i woli przeżycia. O lojalności i przyjaźni. O mocy natury i potędze umyśtu.

Być może to słowa, które musiały przyjść po bolesnym milczeniu? Jak pisze Włodzimierz Wilowski w „Metafizyce cierpienia”¹:

Zawsze przy omawianiu cierpienia zderza się ze sobą słowo i milczenie. Cierpieniu daje się wyraz milczeniem. Po milczeniu przychodzi jednak czas także na słowo... (...)

Człowiek, który cierpi, potrzebuje zrozumienia, uwagi, jakby oczekiwał towarzystwa w przejściu do innego wymiaru. Wie, że ostatecznie będzie w nim sam. W samotności zaś nadzieja zdaje się być ceną jego przetrwania. (...)

Cierpienie wydaje się być złem przeciwstawnym naturze, lecz w naturze zdaje się też być zawarte, jako moc jej przekształcania.

Cierpienie jest zawsze niepowtarzalne, indywidualne i dotyka samej głębi człowieczeństwa.

Słowami można starać się opisywać tylko zewnętrzne jego aspekty, jego głębi doświadcza się samemu.

NIktórzy jednak potrafiają do doświadczenie ubierać w NIEzwykłe słowa.

One dziś.

Tu.

Agnieszka Moskaluk
redaktorka naczelna Pegaza

1 Włodzimierz Wilowski, *Metafizyka cierpienia. Od Arystotelesa, poprzez myśl indyjską, do myśli chrześcijańskiej*, Wydawnictwo Naukowe Instytutu Filozofii UAM, Poznań 2010, str. 9.

I W CHOROBIE...

Jerzy Hajduga

Identyfikator

obok worek z bielizną a ja
i tak nie na wierzchu osobno
w prześcieradle

zwisam jak skrawek papieru
imię nazwisko

po drodze marznę
proszę księdza
muszę zapalić

daj spokój
początki zawsze są
trudne

Płyn do ust dezodorant

za ścianą staruszek w łazience
siadam na brzegu wanny

słyszę spuszcza wodę
wieko trumny

lewy i prawy pośladek
lewy i prawy policzek

oddech

Tyle mnie we krwi

jak wtedy trzy noce temu
nagie ciało znowu w rękach

że aż dłoń pod prześcieradłem
proszę rozbierz mnie gustowniej

później prowadź do łazienki



Foto: Hanna Kaup

TRAKTAT O PODRÓŻY

Renata Paliga

Profanum

Czasami ludzie szukają guza. Chcą poznać prawdę o sobie i świecie – jak zwierzęta. W akcie poznawania kierują się zapachami, które nieobecne są w ich ciałach. Przyjmują za pewnik to, co widzą, a obrazom przypisują znaczenie według swoich uprzedzeń, marzeń i wszelkiego rodzaju irracjonalności.

Podróżują, by czymś nowym się obrzydzić i zgorszyć. Zdziwić i zachwycić. Najchętniej widziane są doznania zawarte w gratisie. Całkiem niespodziewane jak śmierć czy nieznaną chorobą, której nie doświadczył nikt, kogo znają.

Potrzebują doświadczyć obcości, aby zrozumieć, kim są. Koszt wiarygodnej oceny zawarty jest w cenie biletu na koniec świata.

Ludzie uciekali przede mną od zawsze. W szaleńczym tańcu bawiłam się z nimi w chowanego. Najbardziej panoszyłam się na statkach. Stłoczeni ludzie padali przede mną na kolana. Byli jak zasikane, śliniące, płaczące dzieci. Szalałam wtedy. Kosiłam, tańczyłam flamenco, unosiłam spódnice, zagryzałam. Zmieniałam ciała w rozpadające się guzy, wrzody, dymienice. Kolejną moją rozrywkę stanowiły wojny. Byłam ich nieodłączną częścią. Tam z kolei upodobałam sobie



Foto: Waldemar Gwizdata

inne objawy. Wysypki, krwawe stolce, gorączki, majaki, nazywane durem plamistym, tyfusem. Mężczyźni, którym wmówiono, że trzeba ginąć w imię jakichś idiotycznych sporów o paliki graniczne, złote korony, rodzaje kolonii i zależności dokonywali żywota w rowach, polach, brocząc krwią lub po prostu defekując bez końca. Tarzałam się w rzygowinach, krwi i pocie. Kąsałam, śniadałam i obiadałam. Najbardziej zachwycałam się człowiekiem w postaci martwej. Wyssane, białe dłonie, jak z marmurowych gładów – przypominały ptaki. Szpony. Rozłożone lub skulone. Skrzydła.

Czasami wpływam na politykę, na bieg historii. Jestem mała, lecz „rządę”. Tak się teraz pisze na murach. Więc potwierdzam – rządziłam armiami, zmuszam je do odwrotu. Nawet Napoleon musiał wycofać armię (nieskromnie powiem, że przeze mnie) z Afryki i Azji. Ba! Spod Moskwy! Pamiętam też Lenina, który wrzeszczał: „albo wesz zwycięży socjalizm albo socjalizm zwycięży wesz!”.

Ja i moje siostry chęptałyśmy różne rodzaje krwi. Nie. Nie powiem publicznie, która z nich była najlepsza. Muszę dbać o dobre stosunki dyplomatyczne, zamierzam przecież podróżować i odwiedzać ulubione miejsca. Każdy chce mieć wakacje, chyba to rozumiesz.

Mam ulubione rejony. Bywam tam regularnie i odmładzam krew. Opisują później moje wojaże. „Bergamo zarazą słynie” napisał dawno temu pewien pisarz o miejscu, które odwiedzam dość często. Mają tam dla mnie katedrę, lecz najcenniejsze są opowieści przekazywane wraz z genami, z pokolenia na pokolenie. Z pewną zazdrością stwierdziłam ostatnio, że znowu Bergamo jest na pierwszych stronach gazet i naukowych opracowań, chociaż tym razem nie mam z tą stawą nic wspólnego.

Gdyby nie ja, my, śmierć, nie byłoby tyle piękna na świecie. Nie byłoby „Romea i Julii”, literatury, kościołów wotywnych, kopuł, budowli, sztuki ani dzisiejszej medycyny. Może byłoby coś innego, lepszego, piękniejszego, a może i nie... Kto wie...

Ludzie uciekają przed nami, chowają się, zwalczają. A przecież jesteśmy częścią nich! Każdy mój ruch wynika z ich wyboru, mój genom kolaboruje z ich genomem. Mieszkamy w ich jelitach, w krwi. Natura obwąchuje nas i maca. Świat jest lustrem. Oddaje im to, jak traktują zwierzęta, rośliny, siebie nawzajem, planetę Ziemię.

Ludzie modlą się do Boga, ale zanoszą modły do siebie. Do swojej kruchości, którą instynktownie ubierają w złote szaty, przystaniają obrazami i zbroją w relikwiarze. Modlą się do swojej podróży.

Nazywam się *Xenopsylla Cheopis*, moja siostra to *Yersinia pestis*¹. Przynosimy wam czarną śmierć.

1 Przyp aut. *Xenopsylla Cheopis* (pchła szczurza), *Yersinia pestis* (pateczka dżumy)

Sacrum

Byłam obrazem Matki Bożej noszonym po zadżumionym mieście. W procesji białgalnej szli wszyscy, którym zabrakło rozumu, aby uciekać.

Widziałam szczerze dziwki, brudne i plugawe, które modliły się żarliwie, nie oczekując niczego w zamian. Czasami, chociaż nie wypowiadały tego na głos, pragnęły śmierci. Miały odcień oczu identyczny jak mój. Patrzyły przenikliwie i szczerze płakały. I znikwały z mojego pola widzenia tak szybko, jak się pojawiły. Pomyślałam nawet, że ktoś je wciągnął w cuchnący zaułek. Ktoś, kogo podnieciła świętość wylewająca się spomiędzy brudnych ud.

Widziałam i słyszałam wielmoży i blade wielkie panie. Pobożne i nadęte. Spowiadały się z nudów i opowiadały o tym, że gwałci je sam pan bóg albo szatan. Oskarżenie o przymuszanie do obcowania płciowego istnieje w pojęciu niewieściej krzywdy od zawsze.

Słuchałam milczących a wyraźnych modłów i próśb o to, by zestać zarazę na męża, żonę, sąsiada, kochanka, kochankę, kogoś, kto dawno nie żył. Gęby zięjące nienawiścią wyrzucały słowa o krzywdach i złorzeczyły do chwili, gdy zamknęła je śmierć.

Nosili mnie dookoła murów miast, stawiali w bramach, układali w ołtarze. Bym łapała strzały zarazy zeszanej przez Boga. Nie mam pojęcia, skąd pomysł, że chciałybym to zrobić. Ludzie prości, a wynajęci do tego celu za miskę zupy lub zwykłego ochłapu. Narzekali w duchu za nadmiar kilogramów, którymi obarczono ich ramiona i natychmiast przepaszali, bojąc się gniewu płynącego z deski.

Za mną podążali najpotężniejsi, za nimi mniej potężni, potem coraz mniej znaczący, aż do zwykłego ludu naznaczonego trwogą i znojem dnia codziennego.

Słyszałam modlitwy. Słyszałam przekleństwa. Słyszałam knucia zza skromnych spojrzeń i widziałam zмовy judaszy chowane wśród koronek i książeczek do nabożeństwa. Widziałam oczami malowanymi na desce wszelką plugawość kłębiącą się w tłumie. Ale też świętość i czystość unoszącą się od tych, którzy mieli przeżyć mór, lub niebawem umrzeć. Wiedziałam, że nastąpi dla nich noc. Wiedziałam, że musi nastąpić dzień.

Niesiona byłam wśród kadzideł i dzwonek, unosił mnie śpiew kastratów okaleczanych w dzieciństwie dla ulotnych dźwięków. Kastracja dzieci dla muzyki. Nie przestają mnie dziwić ludzkie dziwaczności. Myślą jak zwierzęta i próbują w zwierzęcy sposób układać porządek Bogu.

Wiedziałam wtedy, że daleko ludzkości do naukowego poznania rzeczy widzialnych i niewidzialnych. Po wykryciu antymaterii, kiedyś, będę zdefiniowana inaczej. Przetrwam jako pierwiastek bożej samicy w każdej z wymyślonych teorii.

Foto: Waldemar Gwizdata



Żyję w roślinach penetrujących ruiny umartwych domów, w kamiennych posągach antycznych bogiń z urwanymi kończynami, ukruszonymi nosami. Ożywam w ich ślepych spojrzeniu. W genach przekazywanych według reguły nieskończonej frywolności dzikiego trafia. W każdym zwierzęciu, w każdej rzeczy, w każdym porannym otwieraniu oczu i słowie zjawiającym się w mojej przestrzeni.

Przyjdzie taki dzień, kiedy znowu trzeba będzie wybierać sens. Stare słowa zmieniają znaczenie, a śmierć przyniesie człowieka, który miał je chronić i ratować. Zrobi nikczemności dla lepszego jutra. Stanie się terazniejszym mordercą dla lepszego jutra, które być może nigdy nie nadejdzie.

Niosę ludziom rozwój i upadek. Naprzemiennie, cyklicznie, według harmonogramu, którego ludzie nie złamią żadnym algorytmem. Nazywam się natura.

Homo animalis

Mówimy do was my, których prochów nie rozsypano. Stały się smrodem. Odurzającym smrodem wdzierającym się wszędzie.

Mówimy do was, którzy planujecie zmienić świat zapatrzeni w czeluści ekranów. Wydaje się wam, że możecie wszystko. Nie widzicie niczego szczególnego ani niezwykłego w decydowaniu o czyimś życiu i śmierci.

Nosicie białe fartuchy z miną wszechwiedzy i panoszą się gromadnie, tupiąc rytmicznie w chodakach, których echo stawia na baczność w stan wyczekiwania



Foto: Waldemar Gwizdata

tego, co się wydarzy podczas obchodu. Z językiem angielskim, który stał się powszechny. Obcy a spowszedniały. Jakby tego było mało, używanie skrótów od nazw chorób. Stare dolegliwości zyskały tajemnicze oznaczenia². Jesteście młodzi. Niczego jeszcze nie przeżyliście, prócz pierwszej miłości, wielkich planów na przyszłość i ogólnego dobrobytu bez znaczenia.

Mówimy po latach milczenia, bo od jakiegoś czasu bardzo was interesuje nasza historia w kontekście wykorzystania notatek z procesu mordowania. Bo przecież to już się wydarzyło. Nic nie może się zmarnować. Żaden dowód naukowy. To już się wydarzyło. Dlaczego nie wykorzystać.

My, spaleni, przetopieni w kadziach na mydło, bo nic nie może się zmarnować. Nasze skóry służą jako abażury. Do dziś można je kupić w graciarniach przywożonych z Niemiec po umartwych Niemcach. Może dotykacie stary pergamin, z przyklejonymi wyleniałymi frędzlami. To nasze grzbiety, to nasze pośladki, to nasze podbrzusza, które jak hamak kołysały nasze dzieci. Przeminieli już oprawcy, zmarły dzieci oprawców, a nasze rzeczy, przedmioty wożone w walizkach w te i we wte, wracają na swoje ziemie z laskami, basenami, żyrandolami i porcelaną. Jedyne złoto z zębów tuła się po świecie i trudne jest dziś do zidentyfikowania.

2 Obstrukcja – *obstruction*, zatwardzenie – *constipation*... (przyp. aut. pamiętam z nostalgią, dziś rzadko publicznie i głośno przy wszystkich – „a stolec był?”).

Mówimy do was, którzy nie umiecie jeszcze wysłuchać w człowieku niczego. Ani szmeru serca, ani jego bólu, ale już decydujecie, że za dużo kosztuje jego leczenie. Rozprawiacie, że się coś komuś nie należy. Bo taki system. Bo macie władzę i możecie czegoś nie musieć. Bo takie realia. Bo tak robią wszyscy.

Nakarmili was buchalterią, a przecież ubieracie białe fartuchy. Dziś – ubieracie kombinezony. Białe skrzydła aniołów. Zamykacie ludziom oczy na ostatnią drogę, kołyszecie w ramionach nowo narodzonych.

Styszycie kakofonię głosów. Wszyscy chcą opowiedzieć wam swoją historię w ramach nauki zbierania wywiadu lekarskiego.

Teraz mówi Róża, która szła przy murze getta i nie rozumiała, dlaczego żołnierze śmieją się z niej, kiedy spomiędzy nóg, kaskadami, wypadają skrzepy. I chociaż tak się stara i zaciska uda, nie może powstrzymać kolejnego dziecka, które ją opuszcza. *Rauss* słyszy jako ostatnie. Nieważne, czy umiera od strzału w głowę, czy dlatego, że traci zbyt wiele krwi.

Mówimy do was, bo uważacie, że nic nie może się zmarnować. Dlaczego nie wykorzystacie zarodków zamrożonych przed laty? Otwiera się przecież i wyprzedaje zapomniane przez wszystkich magazyny. Dlaczego nie otworzyć i nie wykorzystać tych płodów? Przebywają tam zbyt długo, zaraz się skończy termin ważności. Studenci muszą się na czymś uczyć. Może któraś się ulituje i włączy tryb wysiadania. Wsadzi zarodek i wykietkuje człowiek... Może się ulituje nad dzieciątkiem miłośniczka zwierząt, karmicielka kotów, wojowniczką o lepsze jutro. Matka. Nawet taka, która urodziła się jako mężczyzna. Może pokaże przykładem – tę oklepaną miłość.

Mówimy do was...

Uciekacie w popłochu, myśląc, że styszycie głosy szaleńców. Słyszec głosy – nie jest dobrze z medycznego punktu widzenia, więc udajecie, że nic się nie dzieje. Zakładacie maski, uciszacie sumienia. Uciekacie przed sobą.

Gonimy was jako psy. Szczekamy. Chwytamy za nogawki, aby powstrzymać przed szaleńczym biegiem ku przepaści ludzkiego nie-znaczenia. Nie-istnienia. Nie-decydowania. Szczekamy, szczerząc wypolerowane zęby o odcieniu bieli kości porzuconych przy drogach.

Eleganccy oprawcy lubili psy. Karmili psy. Dbali o psy.

Nasze dzieci przed śmiercią chciały być psami.

Słuchajcie... *nikt nie woła*.

P.S.

Ludzie szukają początku i końca, jakby istniał jakikolwiek początek i koniec.

84

Marek Lobo Wojciechowski

Nie śpi, czasami sypia, ale
budzą ją Baboki, wytażące
z szafy, zza drzwi.

Boli. Kręgosłup, nogi,
po kolei: palce, kostki,
kolana (och, kolana!),

o biodrach – szkoda gadać,
a kolejne bóle stoją
w kolejce, po swoje.

Z lekarza w lekarza,
z badania w aptekę,
z apteki w pustkę ścian.

Gdy zamknie oczy, widzi
wieś, gdzieś nad Bugiem
- tam była bezbolesna

i rzeńska.



Foto: Waldemar Gwizdata

PLAN

Hanna Kaup

Zawsze mówiłam, że Bóg miał na mnie swój plan, bo nie pozwolił mi urodzić się w czasie wojny. Z pewnością bym jej nie przeżyła. Genetycznie słaba, w kraju biednym, brudnym i głodnym, w którym większość ludzi mogła sobie pozwolić co najwyżej na kartofle w obierkach czy zupę z pokrzywy, nie miałabym szans na przetrwanie. O sytuacji w obozie nawet nie umiem myśleć. Wszy, tyfus, głodowe racje, przeraźliwe zimno drewnianych baraków, poranne apele i doświadczenia wykonywane na dzieciach, to aż nadto, by z moim „szczęściem” się uratować. A już wywózka na Sybir, w warunkach, jakich dzisiejsze pokolenie nie umie sobie nawet wyobrazić, to największe bestialstwo, które zgotował ludziom Stalin. To on – i jemu podobni, których nie wiedzieć czemu nosiła ziemia matka – winien jest temu, że człowiek strzelał bezbronnemu człowiekowi w plecy, ścinał mu głowę czy palił żywcem tylko dlatego, że mówił innym językiem, wierzył w innego boga, urodził się jako Polak, Żyd czy Cygan. Nie mieści mi się w głowie, jak straszny lęk towarzyszył matkom, które rodziły wtedy dzieci, którym te dzieci były brutalnie odbierane, a często na ich oczach mordowane.

Moja mama w czasie wojny mieszkała w Skierbieszowie, a potem w Zamościu. Kochała go i kiedy już pojawiliśmy się na świecie, chciała nam pokazać miejsca, które poznała swoimi dziecięcymi oczami. Kiedyś pojechaliśmy tam. Zapamiętałam jedno – rotundę, gdzie po raz pierwszy niemal namacalnie zetknęłam się z tragiczną historią ludzi i dzieci Zamojszczyzny. To dla nich Niemcy stworzyli tam obóz przejściowy do zwózki z nadzorowanej przez Heinricha Himmlera operacji pod kryptonimem „Miecz – Pług – Kołyski”. To ten szef SS wymyślił i zlecił utworzenie wokół Zamościa i Lublina tzw. eksperymentalnego niemieckiego okręgu wysiedleńczego jako planu wyniszczenia oraz germanizacji około 50 mln Polaków, Rosjan, Białorusinów, Czechów i innych Słowian. Czyszcząc ziemię wschodnie pod osadnictwo niemieckie, zwieziono do Zamościa Polaków z czterech powiatów: zamojskiego, biłgorajskiego, hrubieszowskiego i tomaszowskiego. Dlatego od 1942 r. rotunda była miejscem masowych egzekucji tych ludzi i ich dzieci.

Mama opowiadała mi, że działy się tam straszne rzeczy, że hitlerowcy potrafili wyrywać matkom ich maleństwa, brać je za nóżki i rozbijać ich główki o mur. Mówiła też o innych okropnościach i choć nie byłam ich świadkiem, cały czas mam przed oczami to barbarzyństwo. Nie wiem, kim mogli być dopuszczający się takiego okrucieństwa (celowo nie piszę „ludzie”), nie umiem pojąć, jak mogli tak gardzić i nienawidzić innych bez przyczyny. Do dziś na myśl o tym robi mi się niedobrze.

Pokolenie, które przeżyło wojnę, wzrastało w cieniu jej wspomnień, w lęku przed głodem i powrotem Niemców na ziemię zachodnie, z których zostali na mocy

konferencji w Jątcie wysiedleni. Jeszcze zanim w maju 1945 roku zatknięto flagę na bramie Reichstagu w Berlinie, od 4 do 11 lutego antyhitlerowska wielka trójka, czyli: przywódca Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich Józef Stalin, premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill i prezydent USA Franklin Delano Roosevelt zdecydowali o zmianie granic Polski. W pałacu cesarskim w Liwadii opodal Jątty na Krymie ustalili, że na rzecz Związku Radzieckiego tracimy Kresy Wschodnie, czyli obecną Litwę z Wilnem, Ukrainę z Lwowem i Białoruś z Grodnem. Rekompensatą było odzyskanie ziem dawnego Królestwa Prus, wówczas należących do III Rzeszy, czyli Ziemi Lubuskiej, Pomorza Zachodniego, Dolnego Śląska i Śląska Opolskiego, części Prus Wschodnich oraz byłego Wolnego Miasta Gdańska.

Kiedy przesiedleni ze wschodnich terenów Polacy przybyli na zachód, jeszcze 30 lat po wojnie uważali, że są tu tylko na chwilę. Nie wiem, jak nazwać to, co im uczyniono, bo po pięciu latach tułaczki, cierpień i rozstań, gdy zaczęli wracać do swoich domów, zamiast je remontować, musieli najpierw podjąć decyzję, czy w ogóle zostają. To był ciąg dalszy rodzinnych tragedii, tyle że zgotowanych nie przez wroga, ale nową władzę. Zbrodniarz Stalin, kiedy zajął ziemie dzisiejszej Ukrainy, zmusił ludzi do przyjęcia obywatelstwa rosyjskiego. Podobnie zresztą jak na pozostałych włączonych terenach Kresów Wschodnich. Kto nie chciał tego zrobić, w najlepszym wypadku musiał wyjechać na zachód. Rozpoczęły się więc kolejne tragedie. W rodzinie taty tak doszło do rozdzielenia rodzeństwa. Mama taty, z mężem i dwójką dzieci ruszyła pod niemiecką granicę, pożegnawszy swoją siostrę, która została przy mężu i przyjęła obywatelstwo rosyjskie. Potem nie widzieli się przez 20 lat. I żadne z nich nie wiedziało, czy na ziemi wschodnie wrócą Polacy, czy na zachodnie Niemcy. Żadne nie miało pewności, gdzie będzie lepiej i kto podejmuje słuszną decyzję. Ot, ktoś usłyszał, że lepiej tam, gdzie dalej od Stalina, ktoś inny uznał, że lepiej dalej od Niemców.

Po raz pierwszy o Dzieciach Zamojszczyzny usłyszałam z ust mamy. Potem, coraz częściej mówili o tej tragedii w telewizji. Wysiedlanie 116 tysięcy ludzi, w tym 30 tysięcy dzieci z 290 wsi Zamojszczyzny, Niemcy rozpoczęli dokładnie 80 lat temu. Dziś media podają, że z okazji tej rocznicy do rodzinnej wioski mojej mamy ma przyjechać obecny Prezydent RP oraz były Republiki Federalnej Niemiec Horst Köhler. On też urodził się w Skierbieszowie, tyle że dziesięć lat później niż mama, 22 lutego 1943 roku, po tym jak w 1942 jego rodzina, ściągnięta z rumuńskiej Besarabii, zajęła jedno z polskich gospodarstw opuszczonych po wygnaniu skierbieszowian z ojcowizny. Jak podają źródła, było to gospodarstwo Józefa Węctawika. Rodzina przyszłego prezydenta wkrótce opuściła jednak wioskę. Z uwagi na nasilające się działania partyzanckie została przeniesiona do Łodzi. Zbliżał się koniec wojny, więc stamtąd Köhlerowie uciekli przed Armią Czerwoną w okolice Lipska, a po kolejnych ośmiu latach przez Berlin Zachodni do Niemiec Zachodnich.

Tam, po czterech latach pobytu w obozie przejściowym, osiedli na stałe w Ludwigsburgu (Badenia-Wirtembergia). Był rok 1957, gdy skończyła się ich tułaczka. Horst miał wtedy 14 lat. Tułaczka mojej mamy skończyła się w 1945, w miasteczku, które od XIII do XVI wieku było stolicą Nowej Marchii, a na mocy ustaleń w Jałcie zostało włączone do Polski. W 1957 roku mama była już żoną i matką rocznej dziewczynki.

* * *

14 lat wcześniej, gdy urodził się Horst, a zaczęła realizacja Generalnego Planu Wschodniego, Tereska miała dziesięć lat. Tyle, ile ja, gdy i mnie od niej oderwano i zamknięto na długie 13 miesięcy z dala od domu, najpierw za kratami oddziału bez odwiedzin, później przez dziewięć miesięcy przypiętą do łóżka szerokim skórzanym pasem tak, że mogłam leżeć tylko na brzuchu lub tylko na plecach. Żeby zmienić położenie, musiałam prosić pielęgniarkę. Za każdym razem bałam się, że będzie zdenerwowana, że zawracam jej głowę, więc ograniczałam te obroty do minimum. Ale jakie to było cierpienie w porównaniu z cierpieniami tamtych dzieci? Właściwie żadne. Operacja w pełnej narkozie, czysta pościel, ciepło, trzy pełnowartościowe posiłki dziennie, a nawet szkoła, która „przychodziła” do nas przez cały rok. Co z tego, że bez rodziny, podwórka, spacerów po pachnącym igliwim otwockim lesie? Co z tego, że z serią 400 zastrzyków, których już w połowie roku nie było gdzie wbić, bo jedną nogę od pasa po koniuszki palców oblepili mi gipsem i trzeba było szukać miejsca na mięśniach ramion i ud? Co z tego, że leżałam jak wyrzucona na brzeg foka, która nie może wrócić do swojego środowiska? Co z tego, że z garściami leków, których niejedno dorosłe gardło by nie przetknęło? Dawałam radę, każdego dnia oczekując na listy z domu i moment, gdy lekarze powiedzą mi, że mogę wracać.

W kręgu odradzającego się co roku czasu, w którym zostałam wychowana, zachaczałam o wszystkie możliwe święta. Ale na Boże Narodzenie rodzice zrobili mi niewyobrażalną niespodziankę. Przyjechali oboje. Oboje tacy ładni i uśmiechnięci. Moje szczęście natychmiast zostało przywołane do porządku, bo pierwsze, o czym pomyślałam, gdy ich zobaczyłam, to, że zaraz będą musieli wracać. Ale przyjechali autem i w związku ze świętami, szpital – wtedy nazywał się Sanatorium Gruźlicy Kostno-Stawowej im. Janka Krasickiego – pozwolił na dłuższe odwiedziny. Wtuliłam się więc w mamę, czując ten wytęskniony zapach tak długo, jak tylko się dało.

W prezencie dostałam „Baśnie, bajki, bajeczki” Lwa Tołstoja, które czytałam później wielokrotnie, jakbym chciała wyczytać z nich coś nowego. Do dziś pamiętam, że na białej twardej obwolucie w brązowym worku ilustrator Juliusz Makowski pomieścił niektórych bohaterów z moją ulubioną Ociupinką-odrobinką. Marzyłam, by przemienić się w nią i któregoś razu wrócić ukryta w mamy torebce do domu.

Ale tego świątecznego wieczoru, gdy po raz pierwszy od wielu miesięcy mogłam czuć bliskość obojga rodziców, zdarzyło się jeszcze coś nadzwyczajnego – pozwolono mi po raz pierwszy od siedmiu miesięcy na chwilę wstać z łóżka i zrobić sobie zdjęcie z rodzicami i koleżankami. Mam je do dziś. Stoję na tle ciężkiej lnianej kotary w czerwone kwiaty, w bordowym wzorzystym i atlasowym szlafroczku. Mam na nogach ciemne rajstopy i przylegające do stóp niczym baletki kaptcie. Moje koleżanki nie kryją swoich piżam, za to ja chciałam poczuć się odświętnie i uciec od codziennej szpitalnej rzeczywistości, dlatego tylko uważne oko dostrzeże, że pod szlafroczkiem skrywam górę od piżamy. Uśmiecham się lekko tym swoim krzywym uśmiechem, w oczach mam jakąś dziecięcą radość, ale już nie tę sprzed roku. No i choć udało mi się zachować warkocze, to były znacznie cieńsze. W związku z chorobą i przyjmowanymi lekarami włosy już wtedy zaczęły mi wypadać. No i nic mi nie zostało z koka, który w domu codziennie robiła mi mama. Jego brak stał się symbolem czasu, który pozostawił we mnie ślad na całe życie. Jako dziecko nie znałam pochodzenia tej fryzury, ale później dowiedziałam się, że była wzorowana na uczesaniach Niemek. I właściwie nazywała się wateczkiem Olimpiii. To był taki zawijas, który zaczynał się nad czołem, a kończył na czubku głowy. Wystarczyło podnieść pasmo włosów, zakręcić je i umocować spinkami. Bez niego czułam się jak tusa i było mi bardzo smutno, gdy dowiedziałam się, że w sanatorium nikt mi koka nie będzie robił. Gdybym wtedy wiedziała, że nosiły go nadzorczyńce w obozie dla kobiet w Ravensbrück, byłoby mi łatwiej z nim się rozstać. Może nawet sama nie pozwoliłabym mamie go uplatać.

* * *

Po nocy z 27 na 28 listopada 1942 roku w Zamościu, do którego furmankami przywieziono ludzi z okolicznych wsi, rozpoczęła się segregacja, rozdzielanie rodzin, a przede wszystkim odrywanie dzieci od matek. Pewnie dzięki temu, że babcia wcześniej opuściła Skierbieszów, Tereska nie podzieliła losu tysięcy podobnych jej maluchów o blond włosach i niebieskich oczach. Urodzony w tym samym roku i w tej samej wsi co ona Zygmunt Węćławik tak w publikacji „Wysiedlenie Skierbieszowa” (T. 1, s. 33) wspomina ten czas:

Segregacja rodzin. Coś najpodlejszego. Scena rzezi niewinnytek z czasów Nerona, tylko w niemieckim wydaniu. Odbieranie dzieci, a raczej wyrywanie ich z rąk, z objąć matek. Segregację prowadził komendant Grunert, „Kanarkowy”. Tlenione ładacznice pomagały. Szarpały dzieci przylepione do piersi matek, uczepione do ich nóg. Wyrwały. Grunert kopał, popychał, bił. Najrozpaczliwiej broniła swego jedyne dziecko Nowogrodzka. Młoda, sama jak dziecko. Stalowe miała dłonie. Nie pomogło szarpanie. Wrzask SS-mana. Przekleństwa, mocne kopnięcia „Kanarkowego” i Nowogrodzka z niemowlęciem wpadła na rozpalony żelazny piec. Przewróciła się

razem z piecem. Poparzona upadła na podłogę. Dziecko wypadło jej z rąk. Zabrali. „Kanarkowy” dobrze wypełniał swoje postannictwo. Po scenie z Nowogrodzką nie mogłem dalej patrzeć i słuchać. Wcisnąłem się w kąt sali, gdzie było najciszej. Usiadłem na podłodze. Uszy mocno zatkałem palcami. Wówczas pomyślałem: czy piekło, jeśli istnieje, może być straszniejsze od tego, co się działo w tej sali? Czy może być coś straszniejszego?”

* * *

O tym, o czym pisze Anna Janko w „Matej zagładzie”, że odebranie dziecku matki to dla niego stan graniczny, że ma ono bliżej do krawędzi otchłani i boi się zawsze ostatecznie, przekonałam się, gdy mama pewnego majowego popołudnia została mnie, dziesięcioletnią dziewczynkę, w miejscu, którego nie znałam, a które stało się więzieniem dla mojego dobra. Tyle że ja tego nie rozumiałam i nikt mi tego nie próbował wytłumaczyć. Myślałam, że jadę 500 kilometrów od domu po to, by lekarze coś mi poradzili i żebym wróciła tam, gdzie moja rodzina. Ale mama wyszła. Powiedziano mi, że zobaczę ją przez okno. Stałam więc na parapecie i dławiąc się przerażeniem, widziałam, jak znika za bramą szpitala. Z każdą chwilą na piersi czułam przytłaczające żelazo i ogarniającą czarną rozpacz graniczącą z szaleństwem. Płakałam i nie byłam w stanie się uspokoić. Ponieważ źle to mogło wpływać na inne dzieci... zamknięto mnie w izolatce. Przez trzy dni puchłam od łez i rozpaczę. I było dokładnie tak, jak napisała Anna Janko: *Dzieci się miotają w rozpacz, duszą się strachem, dławią się łzami, życie psychiczne jest dla nich żywiołem o wiele bardziej niż dla dorosłych, którzy mają już jakieś punkty odniesienia, jakieś uniwersum.*

* * *

Czas zaciera wszelką pamięć. Nie wytarł jednak tego, co hitlerowcy zrobili wygnanym do obozów koncentracyjnych ludziom. Kiedyś, gdy spędzaliśmy w Skierbieszowie wakacje – wracaliśmy tam niemal jak były prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki, którego rodzice kupili tę wieś z początkiem XIX wieku – odwiedziła ciocię Helenę jakąś pani. Dzień był piękny, słoneczny. Usiadła na ławce pod chatą wciąż krytą słomą i o czymś opowiadała. W pewnym momencie zobaczyłam, jak spod zastłoniętego rękawem lewego przedramienia wypetza niczym wąż ciąg cyfr. Kobieta poprawiła szybko rękaw i powiedziała: „Tak, to z obozu, ale nie chcę o tym mówić”. Wtedy pomyślałam o swoim wężu „wytatuowanym” przez zespół otwocskich chirurgów, o tej szramie, którą noszę na biodrze po operacji, o tym niezniszczalnym znaku, którego zawsze się wstydziłam i próbowałam ukryć przed światem.

listopad 2022

HANIA

Jerzy Alski

W środę po południu przywiozłem Hanię do domu. W szpitalu klinicznym wszyscy orzekli, że więcej zrobić się nie da – każda następna chemioterapia, każda radioterapia zabije ją, po prostu. Być może, jeśli organizm poradzi sobie z konsekwencjami, a choroba przystanie w niszczyielskim rozwoju, będzie można rozważyć kolejne cykle – teraz nie. Rozumiałem to, rozumiałem, co mówił każdy kolejny specjalista, w końcu sam byłem lekarzem. Prostym, mało skomplikowanym rzemieślnikiem, związanym z Hanią węzłami archaicznych wspomnień i zdań: nigdy nie zostawię cię na poniewierkę i samotność. Dlatego przywiozłem Hanię do domu i teraz byliśmy znowu pod jednym dachem. Przrzekliśmy to sobie. Ja – jej, a ona – mnie. Skala intymności pomiędzy nami była ta sama, jak za pierwszym razem – pod namiotem, kilkadziesiąt lat temu.

To było podwórko, na którym bawiliśmy się bez rozróżnień na dzieci od frontu i dzieci z oficyny. Śmietnik po prawej, garaż po lewej, pośrodku kawat betonu, narysowane na ścianach bramki, przeciągnięta w poprzek linka imitująca siatkę do gry w badminton. Była młodsza ode mnie o cztery lata, kiedy ja miałem czternaście, ona dziesięć i była potwornie chuda. Taki kadłubek z wystającymi na wszystkie strony rękami i nogami, a na czubku duże usta i jeszcze większe oczy. Była ruchliwa i rozgadana, wiecznie chciała, żebym jej coś dał albo coś zrobił. Była z tych od frontu, ja byłem z oficyny. Ale nawet jeśli, to który czter nastolatek będzie przejmował się takim kartofelkiem z wystającymi na wszystkie strony łętami? Bardzo ładnie rysowała i jeszcze dziś pamiętam, jak ze smutkiem patrzyłem na zmywane przez deszcz drzewko, które poprzedniego dnia namalowała na betonie odłupanym od ściany kawatkiem tynku. Na podwórku rosta akacja – jedna, a przez chwilę dwie. Tylko tyle, aż oboje podrośliśmy. Wtedy byłem już na studiach, na akademii medycznej, a ona chodziła do przedostatniej klasy ogólniaka.

To były późne lata siedemdziesiąte ubiegłego stulecia – czasy niestychanej swobody. Wtedy jeszcze nie mówiliśmy – seksualnej, ale dziewczyny były coraz bardziej świadome siebie i tego, co mogą z chłopakami zrobić. Nie wiem zresztą, być może upraszczam, ale ilość bodźców oszołamiła: były minispódniczki, szorty, wiązane pod piersiami podkoszulki – odległości się skracwały w niespotykany dotąd sposób. Byłem wtedy w związku z pewną dziewczyną z zakładu biochemii, starszą ode mnie o rok i wszystko to irytowało straszliwie moją mamę, bo to był dla niej naprawdę wysiłek, wystać mnie na studia, a ja – według niej – zdawałem się ten wysiłek rozmieniać na drobne i nagle pojawiła się Hania. Wynoszę śmieci, a Hania zbiega z wiaderkiem ze schodów, wracam z zajęć, a Hania stoi w bramie i plotkuje

z koleżankami, wracam wieczorem z klubu, a Hania wyskakuje zza drzwi do klatki schodowej i pyta: gdzie byłeś? W klubie byłem, odpowiadam, a Hania: zabierz mnie kiedyś, proszę. Miała siedemnaście lat i w pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że jest najpiękniejszą dziewczyną, na jaką kiedykolwiek patrzyłem. Ale była od frontu – tacy jak ja nie mieli tam czego szukać. Do dzisiaj nie wiem, czy jest to stwierdzenie prawdziwe. Z pewnością jest łamane.

Pytania przemieniały się w dotyk, dotyk w pocałunki, pocałunki w ręce coraz bardziej spragnione, aż oszukaliśmy wszystkich. Pojechaliśmy z namiotem nad morze. Hania – umownie z przyjaciółkami, ja – umownie z kolegami. Spotkaliśmy się na dworcu i resztę czasu spędziliśmy na poznawaniu siebie. Bawiliśmy się w zakochanych, w dom, w dzieci, w doktora, bawiliśmy się we wszystko, co przyszło nam do głowy. Hania miała tam bardzo delikatne włoski – taki łabędzi puch. Byłem jej pierwszym mężczyzną. Dziesięć dni baśni, nigdy ona nie wróci, nigdy nie zajaśnieje znowu, ale to, że przywiozłem Hanię ze szpitala do domu, jest prostą kontynuacją tamtych zdarzeń. Nie mogłem zrobić nic innego, ten ktoś we mnie nie pozwoliłby mi na to. Może być zresztą i tak, że blask tej baśni nie zgast nigdy.

Nietrudno było zauważyć nas dwoje i plotki dotarły zarówno do mojej mamy, jak i jej rodziców. Jej ojciec nie komentował – był to inżynier, zdaje się sławny, a ja kłaniałem mu się bardzo grzecznie. Natomiast moja mama i jej mama uzgodniły poglądy, każda dla swojego dziecka widząca rolę odmienną od tej, którą wybrałismsy. Telefony były wówczas z tarczą i słuchawką i kiedy przez tydzień słuchaliśmy: nie ma jej, nie ma jego, Hania zaczęła dzwonić przez koleżankę z piętra niżej, a ja przez starszą panią, która mieszkata obok nas i opiekowała się kotami na podwórku. Chodziliśmy karmić koty. Wychodziliśmy z domu, pozornie każde o innej porze, pozornie każde osobno, po czym wpadaliśmy w siebie za rogiem kamienicy, gdzie już nikt nie mógł nas podejrzeć, a tak naprawdę – wszyscy. Była to miłość dantejska – tak ośmieliłbym się ją po latach określić.

Ojciec Hani został skierowany do pracy na nowy odcinek, tak się mówiło, i oni wszyscy szykowali się do przeprowadzki do stolicy. Hania rozpaczata, jej matka któregoś dnia zadzwoniła, żebym przyszedł. – Pożegnajcie się, tyle mogę wam dać – powiedziała. Poszedłem na frontowe schody. Hania była zaryczana, pociągała nosem. Kiedy jej mama wyszła, przytuliła się. – Nie zostawię cię, nie zostawiaj mnie – powiedziała i rozplakała się jeszcze bardziej.

Skończyła studia na akademii sztuk pięknych. Wyszła za mąż. Jej mąż był utalentowanym i obiecującym rzeźbiarzem. Ja po kilku latach pracy wyjechałem do Niemiec. Też poznałem dziewczynę i ożeniłem się. Postawiłem dom, urodził się syn. Hania oczekiwała drugiej córki. Była to epoka przejściowa, pisaliśmy do siebie ostatnie listy, a potem pierwsze maile. Nie byliśmy nieszczęśliwi, jakby nasze nowe zdarzenia i związki nie mogły nas poróżnić – przeciwnie, my, z naszymi

historiami, mogliśmy się tylko objąć i ukochać. Aż to zrobiliśmy. Kilkadziesiąt kilometrów od miejsca, w którym mieszkaliśmy z rodziną, Hania wystawiała swoje prace wśród innych artystów. Zawiadomiła mnie, a ja tam pojechałem. W post-industrialnej hali, idąc przez mroki, cienie i plamy jaskrawego światła, powoli podchodziliśmy do siebie. To było absolutnie niesamowite – znowu poczuć jej rękę na policzku. I naprawdę nie wiem, czy byliśmy szczęśliwi, czy to, że się spotkaliśmy znowu, przyniosło nam szczęście. Bo to było zupełnie coś innego. Nie umiem tego wyjaśnić i może najlepiej będzie, jeśli opiszę to słowami Hani. Nie zabieram nikomu niczego, powiedziała na niebotycznym piętrze hotelu w jednym z piękniejszych niemieckich miast. Ani córkom, ani mężowi niczego nie zabieram, bo to jest zupełnie coś innego i ja właściwie nie wiem, co to jest. Mam dla wszystkich miłość, dużo miłości. Poza tobą, bo właśnie to, co mam dla ciebie, to jest to, co nie wiem, czym jest. Kochaj mnie, mogę powiedzieć, ale to nie jest to. Nie zostawię cię, nie zostawiaj mnie. Proszę. Nie musiała prosić, czułem to samo i mógłbym powtórzyć to, co Hania mówiła.

To pierwsze po latach spotkanie podpowiedziało nam sposoby. Spotykaliśmy się na wczasach dla osób niezrównoważonych, w depresji, dla osób zmęczonych, chorych. Raz, dwa razy do roku. Chodziliśmy na spacer, dotykaliśmy się, obejmowaliśmy, odgarnialiśmy ze swoich twarzy kosmyki, które zastaniają oczy. Kochaliśmy się, ale nie było to naszym dążeniem, raczej dopełnieniem i to dopełnieniem ze świata, podczas gdy wszystko inne zdawało się być pozaświatowe. Nie opuszczę cię, nie opuścisz mnie. Nie, nigdy. To jest nie do wyobrażenia.

Po czym moja żona zażądała rozwodu. Poprosiła – oboje staraliśmy się być kulturalni. Motywowała to bezbrzeżną nudą związku ze mną, poczuciem, że maleje, że znika, że w obcowaniu ze mną zaczyna być automatem nastawionym na właściwe zachowania. Być może potrzebne jej były niewłaściwe, być może popełniałem błędy, być może zbyt wiele czasu poświęcałem swojemu hobby – stolarstwu. Moja żona nie ceniła stolików, które w dążeniu do osiemnastowiecznej doskonałości stawiałem przed nią. Zabolało mnie to, ale zgodziłem się i napisałem do Hani, że mam trudny okres w życiu. Odpisała: ja też, ale damy sobie radę, ty i ja. Odpisała za mało. Były to czasy pierwszych telefonów komórkowych, dzwoniliśmy do siebie rzadko, ale tym razem odważyłem się. Głos Hani nie był ten sam, tło też było inne – było w nim wiele ostrych dźwięków. Trochę choruję, powiedziała Hania, pojutrze mam zabieg. Jaki zabieg, zapytałem. Cisz, długa cisza i jej głos: mam raka.

Wsiadłem w samolot i następnego dnia byłem u Hani w szpitalu. To był rak piersi, a ona oczekiwała na jej odjęcie. Piersi, tej z rakiem. Po operacji miało nastąpić dalsze leczenie. Miałem przytaczające jak głąz uczucie, że się spóźniłem. Na zakończenie operacji oczekiwaliśmy we czwórkę: mąż Hani, jej dwie córki i ja. Znalismy się, przed kilku laty Święta Wielkanocne spędziliśmy u nich:

mój syn, żona i ja. Wszyscy lubiliśmy się, takie miałem wrażenie. Wtedy, podczas oczekiwania, starsza z jej córek zaciągnęła mnie do kąta, żeby mi opowiedzieć, że od lat podejrzewała, że Hanię i mnie łączy coś dziwnego. Dlaczego? Zawsze wiedzieliśmy, że się spotykacie i zawsze wiedzieliśmy, kiedy. Milczałem. Mama ze spotkań z tobą wracała łagodna jak anioł. Mila – jej siostra – chciała rower, bardzo drogi i specjalny. Hania odmawiała ze śmiechem, mówiąc, że to przecież olimpijski rower, ale Mila była uparta. Zaczaiła się na moment, w którym Hania wróciła właśnie taka i poprosiła kolejny raz. Hania ucałowała Milę, wsiadła z nią do samochodu i obie pojechały po ten rower. Byłam wściekła, powiedziała jej starsza córka i zapytałam, a co dla mnie. Co mi dasz, wracając od kochanka? Co chcesz, odpowiedziała Hania, a to nie jest mój kochanek. To jest zupełnie ktoś inny.

Hania szczęśliwie wyzdrowiała, jeśli wyzdrowieniem nazwać te wszystkie zmiany, które w niej się zdarzyły. Bardzo schudła i znowu, jak przed laty, była kartofelkiem z wystającymi na wszystkie strony łętami. Z dużymi ustami i jeszcze większymi oczami. Oddychała teraz łapczywie i bardzo długo chodziła wolno. Wolno też malowała, jakby z większym namysłem. Wiem to wszystko, bo postanowiłem wrócić. W powiatowym nadmorskim mieście odkupiłem od kolegi – emeryta jego dom i udziały w praktyce, on sam wybierał się do domu opieki. Był samotny i stary, było to smutne, ale szczęście, że miał gdzie szukać opieki. Dom stał na skarpie nad plażą i miał wiele uroku, nawet jeśli był zapuszczony, natomiast praktyka była z udziałami dwóch kolegów, dojrzałych i pozbawionych złudzeń. Moja żona wykrzesasa z siebie uśmiech na te wiadomości, syn zachował się wyjątkowo dojrzałe, bo poprosił mnie o przygotowanie jakiegoś pokoju dla niego. Tak zrobiłem. Nieoczekiwanie znalazłem w sobie wiele sił, aby dokonać przeprowadzki i rozpocząłem życie w bliższej niż dotąd orbicie Hani. Czy spotykaliśmy się częściej – pewnie tak. Nie potrafię tego ocenić, w wolnych chwilach inkrustowałem kolejne blaty i drzwiczki. Wychodziły coraz lepsze.

Kilka lat później mąż Hani doznał udaru mózgu i zmarł. Ona bardzo płakała. Byłem wtedy obok niej. W pierwszych chwilach, w uroczystościach pogrzebowych, w żałobie. Starsza córka wyprowadziła się z domu do męża, młodsza pozostała – była niepokojąco podobna do Hani i oboje staraliśmy się pomagać jej w rozterkach. Kiedyś zapytałem Hanię, czy nie moglibyśmy być razem, być stale bliżej, bardzo blisko, tak jak w tym namiocie sprzed lat. Odpowiedziała: jesteś aniołem, a ja nie chcę swojego anioła sobą zmęczyć. Różnymi życzeniami herbatek, pigułek, koców do przykrycia, nie chcę. Bo kiedy będziesz naprawdę potrzebny, możesz już być zmęczony moimi bzdurnymi życzeniami. Dlatego nie. Ty też możesz chcieć, że bym gotowała jakieś zupy dla ciebie albo zamykała drzwi do łazienki, kiedy ja wolę je otwarte. A ja jestem twoim aniołem i nie chcę upaprać sobie skrzydeł byle czym. Skrzydła są do latania. Moje i twoje. Możemy stać się sobie bardzo potrzebni i nie korzystajmy beztrudnie z możliwości. Bo na resztę może nie starczyć. A ta reszta

Foto: Hanna Kaup



może okazać się najważniejsza. Zacząłem robić dla Hani intarsjowaną witraż. Pachniesz lasem, drzewami, mówiła do mnie, kiedy wracałem z pracowni. W coraz cieplej wyglądającym domu na nadmorskiej skarpie miała swój pokój – obszerny, z dobrym światłem i obok miejscem do wypoczynku. Remontowałem werandę, Hania przyjeżdżała, czasami zostawała na kilka dni. Jej młodsza córka rozpoczynała studia na akademii sztuki – jak niegdyś ona. Pomiędzy jej domem – na przedmieściach metropolii – a moim odległość była niewielka, raptem godzina jazdy autem. Często zostawaliśmy tam, gdzie zastał nas zmierzch i właściwie przez większość czasu byliśmy razem, nawet

jeśli Hania dbała, aby ani jej aniot, ani mój się nie zużył w banalnych potyczkach. Mój syn, który kończył w Niemczech studia medyczne, przyjeżdżał coraz częściej i coraz częściej zostawał na kilka dni. Byłem z niego dumny. Hania czasami patrzyła na niego z niepokojem.

To był początek grudnia, przygotowania do Mikołaja i tak dalej, kiedy po północy odezwał się mój telefon. – Duszę się – powiedziała z wysiłkiem Hania. Trzy dni później była po rozległym zabiegu. Z klatki piersiowej usunięto masę nowotworową uciskającą tchawicę. W innych miejscach też stwierdzono obecność nowotworu. Było to przerażająco niepojęte – badania kontrolne Hania odbywała regularnie, a najmniejsza jej niedyspozycja wyzwała we mnie reakcje paniczne i ciągnięcie jej tygodniami po specjalistach i pracowniach. A jednak – rak piersi potrafi po latach w żywym organizmie zachować się jak niszczycielski furia i ten się tak zachował. Hania przeszła pierwszy zabieg, potem dwa kolejne, potem chemioterapię, potem był kolejny cykl badań i radioterapia. Nie pamiętałem o Bożym Narodzeniu – siedziałem przy jej łóżku, a ona znikła, z każdym kolejnym cyklem leczenia znikła coraz bardziej. Kiedy przywiozłem ją do domu, był marzec.

Wcześniej odbyłem wiele rozmów z leczącymi ją kolegami. Wszyscy byli pełni dobrych, pocieszających słów, natomiast żaden nie był optymistą. Nie istniała metoda pozwalająca na opanowanie wielomiejscowej wznowy raka piersi. Ani

nie istniały modlitwy, ani nie istniały pieniądze mogące to odwrócić. Można było jedynie mieć nadzieję, że jej organizm podniesie się i będzie można znowu podjąć leczenie – niktą nadzieję. Codziennie trzymając Hanię za rękę, tej nadziei niewiele we mnie było – i nie dlatego, że byłem realistą. Byłem lekarzem i rozumiałem, co mi się pokazuje i co się do mnie mówi. To trudne, w wypadku Hani najtrudniejsze.

– Wiesz, co będzie – bardziej stwierdziła niż zapytała, kiedy wnosiłem ją do domu. – Wiem – odpowiedziałem – ale... – Ćśśś – przerwała mi. – Nie walcz. Walka to złość. Bądź jak dotąd, a ja cię nie zawiodę – chudziutkie ręce obejmowały mnie, a ja miałem gardło ściśnięte jak w imadle. Ułożyłem ją na łóżku w sypialni. Rozejrzała się, spojrzała na mnie – najbardziej kochany, kruchy żółodziowy ludzik. – Herbata, proszę cię – powiedziała, a ja chwilę później patrzyłem szczęśliwy, jak Hania tę herbatę pije.

Marzec i kwiecień były pełne słońca. Hania przesiadywała na werandzie – wtedy jeszcze chodziła sama – wśród pędzli, tubek z farbami i sztalug. Traciła siły i szybko okazało się, że przy sztalugach nie daje sobie rady. Pojawiły się akwarele i ona na chwilę odżyła. Drzewko narysowane kawałkiem odtupanego tynku, ona i ja przy śmietniku, my przy schodach tak bardzo owładnięci pragnieniem – widzisz, mówią, widzisz? Widziałem. Przynosiłem jej zmiksowaną zupę, patrzyłem na rozłożone rysunki. Potem prowadziłem ją do łazienki, a później do sypialni. Nie godziła się, żebym ją kąpał. Przychodziła znajoma pielęgniarka i w jej towarzystwie Hania odbywała ablucje. – Teraz możesz – mówiła i wtedy wchodziłem. – Zanieś mnie i nie zamykaj drzwi – mówiła. Była coraz starsza. Łzy nie kończą się nigdy – kiedy odchodziłem do swojego pokoju, mógłbym nimi napętniać butelki. Czasami zostawałem przy Hani, ona wtedy mówiła: tak, zostań, albo: nie, idź sobie. Jesteś najważniejszy, ale nie jedyny. Muszę z nimi wszystkimi porozmawiać. Czekałem, aż zaśnie i potem wpętałem pod kołdrę. Rano Hania mówiła: dobrze, że ze mną byłeś w nocy.

W sierpniu trzeba było rozpocząć karmienie dożylnie. Kroplówki odżywcze kapąły godzinami, Hania coraz mniej mówiła, starałem się ją zająć. Przyniosłem z pracowni ukończoną witrinę, piękny mebelek według francuskich, osiemnastowiecznych wzorów, z kryształowymi szybkami i rozległe intarsjowanymi powierzchniami, z wysuwany białem i finezyjnymi szufladkami u dołu. – Tu schowaj wszystko o nas – powiedziała, wtedy już szeptem. – Wszystkie fotografie, listy i marzenia. Schowaj w niej moje marzenie, to spełnione. Ty jesteś moim spełnionym marzeniem.

W pierwszą niedzielę września Hania była bardzo pogodna. Oddychała z trudnością, ale uśmiechała się, jeszcze wyniosłem ją na taras, jeszcze popatrzyła na morze, jeszcze coś naszkicowała. – Zaśnij przy mnie – poprosiła. Była jak kwiat. Zasnęła skulona, wtulona we mnie. Zbudziłem się o czwartej rano. Hania była chłodna i nie oddychała. Do ósmej piłem kolejne kubki kawy i patrzyłem na nią. O ósmej usiadłem przy stole i wypełniłem akt zgonu. Hania zmarła – tak napisałem na kartce obok. Nigdy nie czułem takiego bólu. Hania zmarła i już nigdy jej nie będzie.

Czy była to prawda? Nie całkiem. Po kilku tygodniach zacząłem składać wspomnienia o Hani. Na ścianach jej pokoju pojawiły się akwarele i szkice, które tworzyła w ostatnich miesiącach choroby, w mojej pracowni listewki z różnych gatunków drewna mieszały się ze zwojami srebrnego drutu i stosikami płytek, którymi ozdabiałem ramki jej prac. Niektóre widziałem po raz pierwszy – widocznie Hania ukrywała je przede mną, uznając, że są zbyt intymne albo inaczej nieodpowiednie. Na nieukończonych akwareli my dwoje, ukucnięci naprzeciwko siebie, karmiliśmy koty na tle śmietnika. Ze łzami w oczach patrzyłem i nie mogłem przestać patrzeć i ptakać. Listy złożyłem w witrynce, według jej życzenia. Część moich listów do Hani przywiozła Mila, przywiozła też kilka dużych obrazów, mówiąc, że mogą mi coś przypominać. Przypominały. Niestykanie silne barwy w akrylowych farbach nakładanych szpachłą – oboje patrzyliśmy na tę burzę, ten potok, ten wschód słońca. Po pogrzebie mój syn został w domu. Uzasadniał to tym, że obawia się o mnie i woli popilnować. Mnie wydawało się, że więź pomiędzy nim a Milą, młodszą córką Hani, zaczyna dojrzewać do takiej właśnie, jaka była między nami i to może być właściwy powód. Oboje patrzyli na siebie tak jak my – jeszcze tak niedawno. Pomagali mi i zajmowali, patrzyłem na nich z nadzieją, ale i z niepokojem – nawet jeżeli taki związek jest niezwykłym szczęściem, to poczucie utraty może być czymś nie do zniesienia. Oboje zdawali się to rozumieć i pomagali mi, jak mogli. Pokój Hani wyglądał coraz piękniej.

Porządkowaliśmy pomieszczenia związane z jej chorobą. Były tam szafki z lekami, kroplówkami, zasobami higienicznymi. Wynosiłem jakiś taboret, kiedy za moimi plecami syn powiedział: to nie może być prawda. Odstawiłem taboret, podszedłem. Syn stał przed szafką z narkotykami i rzeczywiście było w niej wszystko: morfina i pochodne, sevredole, oxycodony, dolcontrale, fentanyl, nawet nielegalna heroina była. Jeszcze zanim przywiozłem Hanię do domu, zgromadziłem to wszystko. Panicznie bałem się, że chwyci ją w cęgi ból, a ja sobie nie dam rady. Potem o tym zapomniałem, a teraz nagle przypomniałem sobie dlaczego. Rozsiany nowotwór to stan, w którym istnienie bólu jest składową choroby. Niekiedy bólu nie do zniesienia i tego właśnie bałem się panicznie. Teraz przypomniałem sobie to wszystko, a mój syn patrzył w głąb szafki. – One są napoczęte, wszystkie – powiedział. To właśnie sobie przypomniałem. Hania ani razu nie poskarżyła się na ból, nie powiedziała, że ją boli. Nie bolało ją, a ja o wartości szafki po prostu zapomniałem. Teraz weszła Mila, a mój syn wyjaśniał jej półgłosem, na co natrafił. Popatrzyła w głąb, popatrzyła na mnie, ciągle na jej twarzy był smutek, ale teraz jakby łagodniejszy. – To ty byłeś morfiną mamy – powiedziała. – Nie potrzebowała żadnej innej. Zazdrościszę wam – odwróciła się do mojego syna, ujęła jego twarz w obie ręce. – Obiecuj, że dasz mi to samo. Żeby mnie nigdy nie bolało.

26.01.2024 godz. 20.43

GDZIEŚ JEST

Joanna Ziemińska-Kurek

Zanim nim za nim

Dawno, dawno temu urodziła się dziewczynka. Nad jej kotyską ustawiły się trzy wróżki: Wróżka Smutku, Wróżka Dystansu i Wróżka Prawdy.

- Ja jej dam płacz. Będzie płynał z niej i obmywał wszystko, cokolwiek ją dotknie, tak, by trwała jak nagi czysty kamień. Bo tylko kamień trwa, nawet gdy w proch się rozsypują trwalsze od niego skały.
- Ja jej dam zdolność myślenia. Niechaj zawsze zachowa dystans. Tę najważniejszą zdolność przyglądania się rzeczom tak, aby były doskonale widoczne. Nawet te, co ukryte.
- A ja dam jej prawdę. Niechaj umie oddzielić ziarno od plew. Zdolność rozumowania, umiejętność trudną nawet dla najbystrzejszych umystów, którym łatwo przychodzi pojmowanie matematycznych reguł, a nie potrafią zobaczyć tego, co najważniejsze.

Działo się to w czasach, kiedy wszystko było możliwe. I jeszcze nikt nie podważał istnienia wróżek ani ich darów.

- Gdzie tu jest haczyk? - zapytała dziewczynka, kiedy potknęła się o nastawioną wędkę. Po nitce do kłębka doszła do wielkiego kamienia. Był biały, gładki i odbijał blask słońca.
- Trudno powiedzieć - odpowiedział kamień.
- Kim jesteś? - zapytała.
- Twoim przeznaczeniem.

Pewnego razu kamień stoczył się ze wzgórza i wpadł do strumienia. W przezroczystej wodzie widać było falującą powierzchnię kamienia.

Foto: Waldemar Gwizdata



- Jesteś przezroczysty i lekki jak mgła, którą można przelać przez sitko. Widać przez ciebie całą przeszłość i przyszłość wszystkiego. Co było – jest – i co będzie. Płyniesz i nie płyniesz. Formujesz i ocalasz. Oddalasz się za każdym razem, kiedy chcę cię dotknąć. Jedwabisty i nierealny.
- Przytul mnie – powiedział kamień. I przeciekł jej przez palce.

Aż któregoś dnia umarła i leżała na bladej ziemi.

Wtedy kosmos wyciągnął czarne ręce, obdarzone wszystkim, co może się zdarzyć, dobrem i złem, euforią i kakofonią lejącego się w klepsydrze piasku. Tak się wszystko kończy i nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Wtedy Bóg wyciągnął do niej ręce.

I stało się, co wiadome od Początku.

Dziewczynka w bibliotece

Dziewczynka zamieszkała w bibliotece. To była wiejska biblioteka mieszcząca się w jednym wielkim pomieszczeniu. Na półkach stały książki z bajkami i poradniki dla rolników. Przeczytała je wszystkie. Również książki o ciężkich przestępstwach, których opisy budziły ją w nocy przez długie lata. Chłonęła z szybkością kilkuset stron dziennie wielkie światowe powieści, tak realistyczne, że znika świat realny, wiersze, które prosiły się o głośną recytację, dramaty do wystawiania w wyobraźni, relacje i instrukcje ekspertów od życia i przeżycia, teoretyków oddychania na własną rękę i pod dyktando.

Brała z półek kolejne książki.

Magazyn pojęć i narracji, coraz wyższy mur z oknami na horyzont, dalej niż za laskiem, szosą i tak dalej.

Aż któregoś dnia dziewczynka musiała opuścić bibliotekę.

Słoneczne światło oślepia. Wiedziała o tym z książek. Jednak doznanie tego okazało się czymś zupełnie różnym i odrębnym.

listopad 2020



Foto: Waldemar Gwizdata

KULTURA JAKO CHOROBA PRZENOSZONA DROGA SPOŁECZNĄ¹

Maciej J. Dudziak

Kiedy miałem siedem lat, na zapleczu jednej z pracowni szkolnych, wśród kilkudziesięciu reprodukcji zblakłych od dziennego światła, natrafiłem na dwa obrazy Goi: *Dom wariatów* i *Dziedziniec szaleńców*. Te dwie odstępny izolowanego społeczeństwa, pozornie sprzecznego, na długo wprawiły mnie w stan chłopięcej refleksji. Być może byłem nieco odurzony zleconą mi jako dyżurnemu klasowemu kilka minut wcześniej, wyprawą do pokoju nauczycielskiego po dziennik, gdy, przedzierając się przez grube jak wiejskie pierzyny zawieszono metr nad podłogą chmury dymu wszechobecnych papierosów carmenów, wchłaniałem kleistą zawiesinę tytoniowego suszu.

Dzień był wówczas podobnie zawieszony i rozdarty pomiędzy wilgotnymi mgłami leśnymi oraz nieznośnie ciepłą gazą ziewnięć napływających z nadbrzeży opartych o rzekę, które od południa okalały nasze miasto. Chodnikowe betonowe płyty, ów tandetny symbol pozornej nowoczesności, którym w coraz większym stopniu zastępowano naturalny kamień dostępny wśród wzgórz morenowych ciągnących się aż do Eberswalde, oddawały wówczas atmosferze zapach płytkiej wilgoci rozsmarowanej cienką warstwą na powierzchni.

W środku tego efemerycznego dramatu mieściła się nasza szkoła wybudowana w logice historycznej zawartej w krótkim haśle zagrzewającym do dalszej i systematycznej pracy na rzecz socjalistycznego społeczeństwa: „966 – 1966: 1000 lat PRL!”.

W czasach mojego dzieciństwa, gdy wszechobecne feerie szarości stanowiły półtrwaną pożywkę do indywidualnego imaginarium, hasła tego typu, choć wciąż liczne, pozbawione już były dawnego żaru tlącego się w polu semantycznym i równie dobrze zapisane mogły być po łacinie. Nie miały już żadnego znaczenia.

Wodząc oczami po reprodukcjach Goi i innych obrazów, nie sposób było oprzeć się wrażeniu obecności w swego rodzaju muzeum. Bywałem w muzeach. Nie lubiłem muzeów. Przypominają cmentarze. Uporządkowana organizacja alejek, tabliczki znamionowe wypełnione nieznośnym wrażeniem gęstej, cmentarnej atmosfery. Kolekcje obrazów przypominają rodzinne mauzolea, w których przedmioty skazano na samotne żywoty ku uciechu i pozornej refleksji wizytatorów. O wiele bardziej pociągają mnie fotografie. W tych młodszych siostrach obrazów jest moc uwodzenia i wciągania w przeszłość.

Na drugim piętrze, w rogu długiego korytarza chłodnego wszechobecnym betonem – uświęconym budulcem jednego z rodzeństwa nowoczesności: socrealizmu

1 Tekst jest fragmentem powieści *Translandia*.

– mieścił się gabinet przyrodniczy. Podzielony był na dwie części. Już pierwsza, dostępna wszystkim uczniom, rozbudzała wyobraźnię: przysadziste palmy ze zwieszonym niemal ku podłodze listowiem, storczyki w kolorowych donicach obrosłe mchami i porostami oraz wszechobecne paprocie dość szczelnie wypełniały gabinet przyrodniczych osobliwości z rozwieszonymi klatkami pełnymi papug i innych pierzastych skowrońców. Zwłaszcza te ostatnie zdawały się posiadać zupełnie niezrozumiałą dla nas nic porozumienia z Panem Pawłem – kreatorem tej wewnętrznej republiki ptasiej.

Pan Paweł, król jednoosobowej republiki, górował wzrostem i posturą nad innymi demiurgami grona pedagogicznego. Długa i gęsta broda chowała niejedną tajemnicę. Jedną z nich przez dziurę w płocie odkrył zupełnie przypadkiem, wracając z samotnej wyprawy leśnej, kolega Tadziumcio. Nie byłoby w tym nic sekretnego, wszak każdy i to zupełnie przypadkiem odkrywa przynajmniej raz w życiu wielką tajemnicę. Większość z nas w dzieciństwie, gdy świat pozornie jeszcze godzi się na współpracę. Dziwne było jednakże to, że Tadziumcio, chłopak tyczkowy, o wełniastych włosach i skośnych oczach, powziął w stanie niemowlęctwa decyzję, że nie będzie komunikował się ze światem za pomocą słów. Był w tym konsekwentny. Szkolni demiurgowie odpuścili po krótkim czasie, stosując nieznaną nam metodę ocen szkolnych w stosunku do Tadziumcia.

Stało się to pewnego ciepłego już czerwcowego popołudnia, gdy namiętnie, z nogami niemal do kolan w zimnej wodzie Witny, zapędzaliśmy się na teren dawno już niepielęgowanego ogrodu w poszukiwaniu raków. Z tej żmudnej i znoonej roboty wyrwał nas odgłos popiskiwania potężnego z chłopięcym kwileniem. Szybko wspięliśmy się na fragment odnogi Reichsstraße 1. To był Tadziumcio. Biegł w naszym kierunku przerażony i to z jego ust wydobywały się niepokojące dźwięki.

Stanęliśmy, ciężko oddychając, naprzeciw siebie, chcąc bardziej uspokoić Tadziumcia, niż w oczekiwaniu na wyjaśnienia.

– On, on... lata.. – wyszeptał.

Nie rozumieliśmy początkowo, o co mu chodzi. Byliśmy tak zaskoczeni całą sytuacją, że zupełnie umknął fakt, że po raz pierwszy usłyszeliśmy głos Tadziumcia.

– Kto? – zapytał Maniu.

– Pan Paweł – dopowiedział szeptem. – Pan Paweł lata.

Tadziumcio opowiedział po chwili, że, przechodząc obok ogrodu okalającego sporym nieregularnym prostokątem dom rodziny Pana Pawła, dostrzegł w miejscu obluźowanej sztachety, jak ten, wspiąwszy się na pierwszy, mocny konar rozłożystej poniemieckiej jabłoni, z gracją



Jacek Lauda, *Gdzieś tu*

odbił się i wśród swoich pawich adoratorek wyśpiewujących ulotne wyznanie wykonał kilka pętli wokół bielonego kilkanaście tygodni wcześniej drzewa.

– Już wiem, dlaczego ma na imię Pan Paweł – dorzucił na koniec Tadziuńcio.

Spojrzeliliśmy na niego zaskoczeni, nie rozumiejąc ani ostatniego zdania, ani całej sytuacji.

– Pawi Pan – szepnęła Tadziuńcio przez ramię – Pan Paweł...

Kiedy człowiek staje się zdoroślały? Wtedy, kiedy kultura, a raczej jej epicentra interesów zarządzania realnością, bezrefleksyjnie wyrwywają go z krain bają i prywatnych mitologii na rzecz pozbawionego wątpliwości nacjonalizmu.

W klasie piątej, gdy język rosyjski stawał się przedmiotem obowiązkowym, jak zresztą wszystkie wówczas, do naszej szkoły przyjechała uroczą praktykantka z Poznania. Rusycystka. Żarliwość, z jaką oddawała się opowieści o ziemskim Edenie powszechnej szczęśliwości, czyli Związku Radzieckim, wywoływała u niej wewnętrzne dreszcze ekstazy wybijające regularne pąsowe koła na policzkach. Przypominała nam wtedy postaci z kreskówki *Wilka i zająca* (Pagadi!).

Zdawało nam się, że znamy ten język. Brzmiał w sposób tajemniczo bliski, a ta ułuda bynajmniej nie miała swojego źródła w produkcjach Mosfilmu. Już na pierwszej lekcji zaczęliśmy szeptać między sobą zwrotami słyszczanymi na co dzień od dziadków i babć. Przez chwilę, coraz bardziej tonąca we własnych pąsach nauczycielka języka rosyjskiego, zdawała się nie dostrzegać. Mgiełki i obtoczki rzucanych do siebie dziadkowych zwrotów typu: *pod banikom, kusztur, czuczto, harapnyk, meszty* czy też *Petro to łuzycą* rozchodziły się po klasie, wywołując na naszych twarzach uśmiechy.

Zdaje się, że naszą intencją było zrobienie przyjemności żarliwej praktykantce. Ta jednak po chwili uległa emocjom, wchodząc w piskliwe tony.

– Przestańcie do mnie mówić po ukraińsku! – krzyknęła, opuszczając spieszonym krokiem klasę.

(Mój kraj to nie dom, to nie ulica. Mój kraj to Sowieckij Sajuz!).

Byliśmy zdziwieni, jako że kraj o tej nazwie wówczas dla nas nie istniał – była Rosja lub Związek Radziecki, a Ukraina, a zwłaszcza Ukraińcy zostali uformowani przez propagandę jako zbrojne ramię indoktrynacji najszarawszej republiki wiślańskiej do konsystencji band z UPA lub banderowców. Powiedzieć wówczas na podwórku do kogoś: ty Ukraińcu! wybrzmiewało gorzej, niż: ty hitlerowcu. Można było być gestapowcem Brunerem ze *Stawki większej niż życie*, ale nigdy, choćby bezimiennym Ukraińcem, a ci – jak powszechnie wiadomo – mając czarne podniebienia, z lubością stosują ukraińskie pieszczoty.

Przez całą szkołę wmawiano nam, że mówimy językiem, który jest najczystsza formą polskiego pozbawionego naleciałości, regionalizmów, akcentów czy słów pochodzących z innych języków. Choć ci, którzy mieli krewnych choćby w Wielkopolsce, ze zdziwieniem opowiadali, jak to kuzyni dziwili się, jak to zupełnie inaczej w Translandii się mówi (bynajmniej nie laboratoryjnym polskim).

W tym języku Sienkiewicz rozpałał głowy i wyobraźnię ku pokrzepieniu mitu wielkości, szlachetności i wszelkich najinności nakazującym czuć się lepiej w stosunku do innych, zwłaszcza Ukraińców (*A co mi tam Kozak jakiś, albo i Sicz cata!*). Nikt jednak nie dopowiadał, że Rzeczpospolita szlachecka to również państwo kulturowego i ekonomicznego niewolnictwa uprawianego przez kilka procent szlachty w stosunku do wszystkich nie-szlachciców. Że brutalny najczęściej kolonializm, zwłaszcza na wschodnich granicach, miał się niezwykle dobrze.

Wiek XX to epoka masowego dążenia do realizacji oświeceniowego mitu o powszechnej czystości: narodowej, językowej, religijnej i kulturowej, w których wszystkie elementy złożonej układanki będą laboratoryjnie odarte z wszelkiej różnorodności. Czystość i sterylizacja.

Nacjonalizm jest jednym z wcieleń marzenia o czystości powszechnej, a szkoła zorganizowana wokół państwa narodowego z niechęcią bierze pod uwagę inność i odmienność, traktując wszystkich według jednego wzorca. To zawsze budziło i budzi nieznośne napięcie, frustrację, a w konsekwencji prowadzi do szaleństwa. Jakkolwiek by go nie rozumieć.

Szaleństwo wynikające między innymi z niemego sprzeciwu wobec powszechnej homogenizacji, a raczej jego usankcjonowanie kulturowe, ma swoje głębokie źródło w racjonalności. Higieniczna racjonalność zamknęła w zakładach dla obłąkanych i nerwowo chorych wszystkich tych, którzy nie spełniają kryteriów homogenizacji.

Dziecię wieku XX, ten młodziankowy jeszcze wiek XXI, już doczekał się usankcjonowania i implementacji szaleństwa w krwioobieg kultury jako racjonalnej jednostki chorobowej, tym samym choroba jest stanem permanentnym i nieusuwalnym.

Wiek XXI to trawienie tej choroby i jej radykalne pogłębienie. Dziś widziane z perspektywy przypomina gabinet psychiatryczny, w którym terapeuta aplikuje rozwiązania na problemy, które stworzył sam lub w porozumieniu.

*

Budynek szkoły mieścił się na obszernym placu przylegającym do kościoła katolickiego wybudowanego w wyniku porozumienia NSDAP i Katolickiej Partii Niemiec z 1933 roku. Bezpośrednio do szkolnego i kościelnego płotu przylegał rozległy ogród, do którego wczesną jesienią zapędzałem się na ponemieckie śliwki nabrzmiałe od soku letnim słońcem. Proceder wymagał szybkiego działania: skok i szybkie otrząsanie śliwy.

Tak samo otrząsam się z ideologizmów, pozornych udorośleń i rzeczywistych zdorostowaceń, bowiem prawdziwie ludzcy jesteśmy wtedy, gdy pielęgnujemy w sobie ciche ziewnięcia łagodnego szaleństwa.

Janina Jurgowiak

COŚ NIE TAK

Nattok myśli
 niespełnione dialogi
 mówię do ciebie a ty
 siedzisz w fotelu jak pamiętam i
 milczysz
 Nie napieram
 właściwie nawet nie chcę żebyś zabierał głos
 Zaczynam z innym ty
 patrzysz w okno i milczysz jak zawsze
 mam pretensje
 pytam
 tłumaczę
 przepraszam
 oskarżam
 żalę się
 nie rozumiem
 żądam wyjaśnień
 To już trzeci ty a może piąty
 łatwo ci milczeć bo tak naprawdę wcale cię nie ma
 tylko ze mną coś nie tak

18.09.2023

WYBACZYĆ

To nie ja zabijam wieloryby
 nie wiedziałam że plastik do oceanu
 nie mam wpływu ani wyboru
 nie mam nic wspólnego
 nie biorę udziału,
 nie mam czasu,
 nie jestem w stanie
 co ja mogę...
 To oni
 to inni
 Proszę was żółwie foki delfiny
 i ty Neptunie
 wybaczcie czego wybaczyć nie można

24.09.2023

NIE MA

Mówię do ciebie a ty
 w fotelu milczysz
 Nie napieram
 właściwie nawet nie chcę żebyś
 zabierał głos
 Zaczynam dialog z innym ty
 teraz patrzysz w okno
 milczysz
 Mam pretensje
 pytam tłumaczę przepraszam
 proszę dziękuję oskarżam
 żalę się
 żądam wyjaśnień
 To już trzeci ty a może piąty
 łatwo ci milczeć bo tak naprawdę
 wcale cię nie ma

18. 09.2023

SAMOTNIA

Minął czas śmiechu i płaczu
 pożegnań i powitań
 nastał czas Samotni
 Gdy odeszły Wiara Nadzieja i Miłość
 ona jedna trzyma straż
 wspiera w zdrowiu i chorobie
 niezawodna wierna
 możesz jej nauręgać
 jak w gniewie kochankowi
 nie obraża się
 sprowadza spokój
 pogodną rezygnację
 jedyny twój kapitał

18.10.2023

OPRÓCZ ŻYCIA NIC

Jeszcze nie wie
 że w życiu absolutnie nic
 oprócz życia
 Tak zabiega
 kupuje
 kombinuje
 załatwia
 gromadzi
 Za późno się dowie
 że w życiu nic oprócz życia

16.08.2023

TURNUS REHABILITACYJNY

Wieczorem po kolacji
 zabawa się zaczyna.
 Orkiestra – ściany drżą,
 a wokalista gardło zdziera.
 Ruszają w tan:
 drgają pośladki, falują biusty,
 zbiorowy szat, konwulsje ciał...
 I nagle: Stop!
 Fryzury rozwiane, twarze rumiane,
 oddechy przyspieszone –
 Idziemy na jednego,
 „będziemy teraz wódkę pić”
 za zdrowie dam.

23.06.2022



Foto: Hanna Kaup

PRZEBIŚNIEGI

BEATA IGIELSKA

Gdy marcowe słońce topi resztki śniegu w ogrodzie za domem, Teresa zaczyna przesypiać całe noce. Po długiej zimowej bezsenności wreszcie znikają cienie pod oczami i nawet liczne zmarszczki wydają się mniej głębokie. Paznokcie same nabierają blasku. Podobnie jak włosy. Teraz już siwe i nie tak gęste jak kiedyś, w marcu nagle zaczynają odradzać się jak trawa na wiosnę.

Teresa z uśmiechem przygląda się zdziwionym główkom przebiśniegów, które wydają się takie delikatne, a przecież potrafią przebić się przez ostre kryształki śniegu i przetrwać nocne przymrozki. „To dlatego, że rosną w gromadkach jak rodzina” – mawiała babcia Teresy. I, widząc zaciekawione spojrzenie wnuczki, dodawała, że szczęście przebiśniegów nie trwa długo, bo zaledwie tydzień albo dwa, czasem trochę dłużej, ale nigdy nie umiera, tylko zasypia. A po długim śnie znów budzi się wiosną. I tak co roku.

Babcia nazywała przebiśniegi śnieżyczkami i bywało, że już w styczniu przynosiła je ze zmarzniętą ziemią z ogrodu do domu. Teresa z nieufnością przyglądała się zielonym kielkom ledwie wystającym z doniczki. Po dwóch tygodniach na parapecie babcinego pokoju pyszniły się już cienkie, ale mięsiste łodygi zwieńczone napęcznianymi zielonobiałymi główkami. Któregoś dnia pąki otwierały się i witały Teresę zwieszonymi płatkami, otaczającymi troskliwie małe kielichy.

Nigdy nie udało jej się uchwycić momentu, w którym przebiśniegi zaczynały kwitnąć. Jednego dnia wieczorem jeszcze miały pąki, a nazajutrz rano babcia pokazywała Teresie donicę pełną białych kwiatów. Uśmiechała się przy tym i cieszyła jak dziecko. „Widzisz, widzisz? W ogrodzie jeszcze nie ma żadnego kwiatka, a u nas w domu już wiosna!” – prawie krzyczała i podtykała wnuczce pod nos donicę.

Gdy domowe śnieżyczki zaczynały zasypiać, ich siostry budziły się do życia między drzewami w ogrodzie. To był dla wszystkich prawdziwy początek wiosny. Nawet jeśli rano mróz szczyptał jeszcze w policzki i matka nie wypuszczała Teresy z domu bez czapki i szalika, zima już się nie liczyła.

Każdego dnia babcia spacerowała po ogrodzie, uważnie patrząc pod nogi, by nie podeptać swoich ukochanych śnieżyczek. Teresa bardzo lubiła te przydomowe przechadzki. Nawet jeśli babcia nic wówczas nie mówiła i kręciła się w kółko po kilku tych samych ścieżkach, nigdy nie było to nudne.

Kiedyś Teresa spytała babcie, dlaczego tak bardzo lubi te białe kwiatki, które nie dość, że małe i niepozorne, to nawet nie pachną zbyt mocno. Bo gdzie im do zapachu krzaków jaśminu albo konwalii, które panoszyły się po całym ogrodzie, gdy po przebiśniegach zostawało już tylko wspomnienie...

Babcia uśmiechnęła się wtedy smutno do Teresy i ujęła jej drobną twarzą w chłodne dłonie. „Są jednocześnie delikatne i silne. Szkoda, że Pan Bóg dał im tak wiele urody tylko na kilka tygodni. Z ludźmi czasem bywa podobnie. Zdarza się im ogromne szczęście, ale trwa zbyt krótko. Zbyt krótko...”

Teresa niewiele wtedy z tego rozumiała. Miała zaledwie dziesięć lat. Była jeszcze dzieckiem, ale miała doskonałą pamięć. Słowa babci znalazły w niej ciche miejsce i wyościły tam sobie miękkie gniazdko. Zasnęły w nim jak babcine śnieżyczki, ale nie obudziły się po roku, tylko dopiero po ośmiu latach. Po kolejnych trzynastu zaczęły dźwięczeć z siłą dzwonu, którego drgania przypominały morskie fale. Najpierw unosiły się wysoko ze sztormowym szaleństwem, potem rozchodziły się coraz ciszej i łagodniej, ale nigdy nie przestały uderzać o brzeg.

* * *

Teresa podnosi do góry rękę i przez rozczapierzone palce spogląda na słońce. Mruży oczy i wtedy dłoń wydaje się ciemniejsza, ale i gładza niż w rzeczywistości. Na chwilę znikają z niej zmarszczki i brunatne plamy. Pozostaje tylko kształt. Jak cień rzucany na ścianę albo na rozgrzaną ziemię.

Gdy Teresa odwraca wzrok od słońca, przed oczami jeszcze migają jej czarne plamki. Teraz patrzy przez rozsunięte palce na gęste kępki przebiśniegów, które uśmiechają się do niej spod resztek śniegu. Gdy rok temu powiedziała wnuczce, że śnieżyczki potrafią się uśmiechać i pielęgnować swoje krótkie szczęście, dziewczynka popatrzyła na nią ze zdziwieniem. Teresa chciała opowiedzieć jej, jak wiele mogą znaczyć te niepozorne kwiatki, ale dziesięcioletnia Kasia wzdrygnęła się i stwierdziła, że jest jej zimno. Zanim babcia zdążyła znów otworzyć usta, wnuczka odwróciła się bez słowa i pobiegła do domu.

Teraz Teresa, jak co roku, zaczyna zastanawiać się, jak długo śnieżyczki będą witać ją w ogrodzie za domem. Dwa lata temu kwitły zaledwie tydzień, ale ostatnio panoszyły się w wielkich rodzinach niemal trzy razy dłużej. Teresa próbuje odgadnąć datę zaśnięcia przebiśniegów jak inni obstawiają numery w tolotka. Chciałaby, by kwitły jak najdłużej. Najlepiej przez cały rok. Na tę myśl uśmiecha się do siebie i do całego ogrodu. Potem, gdy wraca do domu, z takim samym uśmiechem patrzy na zdjęcie Jana, które od wielu lat stoi na szafce obok ich łóżka. Bo to wciąż jest ich łóżko, nie tylko jej.

* * *

Miała dwanaście lat, gdy zakochała się w Janie. Mieszkała wtedy w Grodzisku z rodzicami i starszą siostrą. Babcia zmarła rok temu i pierwszy raz zdarzyło się, że w styczniu nikt nie wykopał śnieżyczek z ogrodu.

Teresa bardzo tęskniła za babcią i nie mogła zrozumieć, dlaczego mama wciąż powtarza, że teraz babcia znów jest szczęśliwa, bo wreszcie potoczyła się

z dziadkiem, tym razem już na zawsze. Gdy Teresa płakała, matka pocieszała ją, mówiąc, że babcia na pewno patrzy na nią z nieba. I zaraz dodawała, że właśnie dlatego Teresa powinna być grzeczna. Dlatego też musi dobrze się uczyć i słuchać we wszystkim rodziców, a nie marudzić przy jedzeniu, zapominać wieczorem umyć uszy i zmówić pacierz.

Teresa nie chciała rozczarować patrzącej z nieba babci, więc bez szemrania wykonywała wszystkie polecenia matki. Nawet po drewno do komórki i po wodę do studni chodziła bez marudzenia. Buntowała się dopiero wtedy, gdy miała wyryczać w tym siostrę.

Starsza o osiem lat Marianna po roku żałoby wymykała się z domu pod każdym pretekstem. „Mama w moim wieku już była mężatką i nosiła mnie w brzuchu. A ja co? Starą panną mam zostać?” – odszczekiwała się matce, gdy ta wypominała jej puste wiadra na wodę albo pełen popielnik. I zaraz dodawała, że przecież Teresa ma czas, bo lekcje już odrobiła, a na potańcówki i wieczorne spacerki po mieście musi jeszcze zaczekać.

Właśnie dlatego, gdy Jan przyszedł na początku lipca do ich domu, Teresa była pewna, że to nowy kawaler siostry. Marianna szykowałą się z koleżanką w swoim pokoju na sobotnią zabawę i zabroniła wszystkim nawet podchodzić do drzwi. Z piętra dochodziły głośne wybuchy śmiechu obu dziewczyn, które poprzysięgły sobie, że to będzie ich ostatnie panieńskie lato. Ojciec drzemał z fajką w ogrodzie po całym tygodniu pracy na kolei, a matka akurat wyszła do sąsiadki na przymiarkę. Miała rękę do szycia i dzięki temu zdarzało się, że zarabiała więcej od ojca. Oczywiście, nigdy mu tego nie mówiła, żeby nie poczuł się dotknięty.

Foto: Waldemar Gwizdata



I chociaż nie rozmawiała o takich sprawach z córkami, one doskonale wiedziały, że mięso w tygodniu na obiad czy lukrowane ciasteczka co drugi dzień to przede wszystkim zastuga matki ślęczącej całymi dniami nad maszyną do szycia. Nie mówiąc o nowych fatałaszki dla Marianny i Teresy.

Jan zatrzymał się niepewnie w progu, gdy otworzyła mu chuda jak patyk dziewczynka z burzą jasnych loków byle jak związanych w kucyk. Ona też była zaskoczona, bo spodziewała się zobaczyć matkę.

– Czy zastałem panią Skrzydlewską? – spytał w końcu i uśmiechnął się do Teresy, która nie mogła wydusić z siebie słowa. Najpierw przestraszyła się nieznanego młodego mężczyzny, potem z ulgą pomyślała, że na pewno przyszedł po Mariannę.

– Ona... Ona jest w swoim pokoju i zaraz... Zaraz zejdzie na dół... – wyjąkała wreszcie. Wciąż jednak nie wiedziała, czy powinna zaprosić nieznanego do środka. Rodzice nie pozwalali w ogóle otwierać drzwi nieznanym, ale przecież zanim matka wróci, Marianna ze swoim kawalerem i koleżanką już pewnie będą tańczyć na zabawie.

– To co? Mogę zaczekać? – spytał z uśmiechem. Teresa bez słowa zaprowadziła go do stołowego pokoju i usiadła na krześle przy oknie. Młody mężczyzna najpierw rozejrzał się niepewnie, ale już po chwili siedział naprzeciw Teresy i patrzył na nią z zainteresowaniem. Nagle zerwał się i wyciągnął do niej rękę.

– Ależ gapa ze mnie! Nawet się nie przedstawiłem. Jan Czerwiński jestem – ukłonił się przesadnie, więc pomyślała, że stroi sobie z niej żarty. To, że traktuje ją jak smarkulę, najpierw ją speszyło, a potem zdenerwowało. Bo co z tego, że jest najmniejsza na podwórku i w klasie, skoro przeczytała najwięcej książek! Poza tym najlepiej w szkole zna tabliczkę mnożenia i umie rachować w pamięci szybciej niż dorosta Marianna.

Poprawiła niesforny kosmyk, który opadał jej na czoło i z powagą odwzajemniła uścisk dłoni.

– Danuta Jurandówna – oznajmiła najgłośniejszym jak potrafiła.

Jan przyjrzał się jej uważnie i zmrużył oczy, po czym wybuchnął śmiechem.

– A to dobre! No to ja w takim razie jestem Zbyszko z Bogdańca! – klepnął się dłońmi po udach, po czym upadł przed Teresą na kolana i uniósł dłoń w geście przysięgi.

– Trzech krzyżackich łbów nie mogę ci obiecać, o pani, bo mamy dwudziesty wiek, ale ślubuję być twym wiernym rycerzem aż po grób! Inaczej niech szczenę albo niechaj pojrzą mnie pająki – wyrzucić z siebie jednym tchem, po czym, wciąż kłęcząc, schylił się i pocałował rąbek jej niebieskiej sukienki.

Teresa krzyknęła i chciała odsunąć się na bok z krzeseł, ale straciła równowagę i z hukiem wylądowałyby na podłodze, gdyby Jan jej nie podtrzymał.

– Jezus Maria! Co ty wyprawiasz, aniołku? Nic sobie nie zrobiłaś? – przestraszył się nie na żarty, gdy zobaczył, że dziewczynka z ledwością powstrzymuje tży. Chciało jej się płakać, ale nie z bólu, tylko ze złości na tego nędznego aktorzyne, jak go zdążyła nazwać w myślach. Bo cóż on sobie wyobrażał? Jak śmie nabijać się z niej w żywe oczy? Może i przeczytał „Krzyżaków”, ale skoro spotyka się z Marianną, to nie może grzeszyć inteligencją! Poza tym jakim prawem drwi sobie z niej w jej własnym domu? Chłystek i ... I obwieś! Tak właśnie, obwieś! Dokładnie taki sam jak Józek od szewca, o którym nawet babcia mówiła, że to kiep, co nie zastąpił sobie na ludzkie imię...

Już miała wykrzyknąć mu to wszystko prosto w oczy, gdy w drzwiach stała Marianna ze swoją koleżanką. Obie miały dopasowane w talii sukienki i nisko upięte koki. W rękach trzymały małe kapelusiki, których nie zdążyły nałożyć. Patrzyły ze zdziwieniem to na Teresę, to na Jana. Zanim zdążyły się odezwać, zaskrzypiały frontowe drzwi i po chwili do pokoju weszła matka.

– Co tu się dzieje? – spytała, patrząc na rozczochaną młodszą córkę, która siedziała niemal okrakiem na krześle, podtrzymywana z boku przez wysokiego młodzieńca.

Teresa już chciała rzucić się matce w ramiona, by wyptakać swój żal i złość na nieznanomego, gdy Marianna wybuchła śmiechem.

– To chyba narzeczony naszej matce myszki! No, no... Kto by pomyślał? Taka smarkata, a już jej amory w głowie... – zaśmiewała się siostra.

Teresa z płaczem pobiegła do swojego pokoju, omal nie przewracając matki. Rzuciła się na łóżko i przykryła głowę poduszką, by nie słyszeć, co dzieje się w stołowym. Teraz nienawidziła nie tylko tego nędznego aktorzyne, ale i Marianny. Gdyby mogła wypowiedzieć jedno magiczne zaklęcie, zamieniłaby ich oboje w obrzydliwe ropuchy! Albo umarłaby, żeby trafić do nieba! Tam spotkałaby babcię i już nigdy nie zobaczyłaby tych kreatur. Babcia na pewno przedstawiłaby ją dziadkowi, którego Teresa nigdy nie poznała, bo zmarł długo przed jej przyjściem na świat. A dziadek z pewnością by ją pokochał. Mieszkaliby sobie we trójkę w raj i spotykali z innymi dobrymi duszami. I wcale nie interesowałiby się tym, co dzieje się tu, na ziemi. No, może tylko czasami Teresa zerknęłaby, co słychać u mamy i taty. A jeśli odwiedziłaby swój dom, to tylko w nocy i tylko po to, żeby straszyć wredną Mariannę...

* * *

Teresa często wspomina ten lipcowy wieczór 1939 roku. Chociaż minęło już prawie siedemdziesiąt lat, wciąż ma przed oczyma uśmiechniętą twarz Jana. I wciąż słyszy spokojny głos matki, która tłumaczyła jej przez całą wieczór, że to tylko syn klientki przyniósł pieniądze za przeróbkę sukienki.

Już dawno wyrzuciła z pamięci szyderczy śmiech siostry i to, jak jej złośliwie rzeczyła. Nie można przecież źle myśleć o zmarłych. Zwłaszcza że Marianna nie zdążyła zaznać w życiu prawdziwego szczęścia. Niemal całą wojnę przesiedziała w swoim pokoju, czekając na kawalera, którego poznała właśnie na lipcowej potańcówce. Wysoki i barczysty Antoni przepadł gdzieś bez wieści wkrótce po tym, jak zaciągnął się na ochotnika do wojska. Marianna wyptakiwała za nim oczy i modliła się, by samej przeżyć. I prawie jej się udało. Prawie...

Tuż przed Wigilią 1944 roku dostała od Antoniego list z... Monte Ricci we Włoszech. To był najpiękniejszy prezent świąteczny dla całej rodziny. Od tej pory siostra Teresy znów odwiedzała koleżanki, najpierw czytając, a potem recytując im z pamięci list.

Miesiąc później sponiewierane ciało Marianny przynieśli do domu w brudnym kocu sąsiedzi. Nie musieli nic mówić. Podarta na strzępy sukienka na zakrwawionym od pasa w dół ciele tłumaczyła wszystko. Armia Czerwona walczyła i sama ustalała cenę za to, co nazywała wyzwoleniem...

* * *

Teresa nie lubi myśleć o tym, co było złe i smutne. Ale myśli nie chcą stuchać ani głosu serca, ani rozumu. Chociaż w nich właśnie się lęgną, nie podporządkowują się żadnym regułom i rozkazom. Żyją własnym życiem i wgrzają się w człowieka jak robak w dojrzałe jabłko.

Nawet po tak wielu latach Teresa musi codziennie toczyć walkę ze złymi myślami, które najczęściej atakują zimą. Dlatego z ulgą oddycha, gdy widzi przebijające śnieżną skorupę przebiśniegi. Gdy tylko je dostrzeże, długa bezsenna noc zmienia się w sen, z którego wcale nie chce się budzić i który pielęgnuje potem w sobie przez cały dzień. Aż do kolejnego wieczoru... I do następnego snu...

Bo w tych snach znów jest młoda i silna. Znów spotyka uśmiechniętego Jana, który całuje ją w rąbek spódnicy i chwytą pewnie, gdy krzesło niebezpiecznie przechyliło się na bok. Ale we śnie Teresa nie wstydzi się już i nie rumieni. Nie nazywa też Jana chłystkiem i obwiesiem, tylko z naturalną lekkością podaje mu dłoń, patrzy w oczy i słucha.

A słowa Jana są takie miękkie i ciepłe jak wtedy, gdy zjawił się znów niespodziewanie niemal po dwóch latach. Te dwie wizyty zlewają się we śnie w jedno spotkanie, które trwa, trwa i trwa...

* * *

Teresa już nie pamięta, jak to się stało, że zaczęła myśleć o Janie bez wstydu i złości. Kiedy przestała zmieniać go w wyobraźni w obrzydliwą ropuchę. Kiedy zaczął śnić jej się jego uśmiech i aksamitny dotyk dłoni. I pocałunek złożony na sukience...

Na pewno nie stało się to z dnia na dzień, ale zakochała się w młodym Czerwińskim jeszcze tego samego lata. Najpierw nie rozumiała, dlaczego tak szybko przestaje go nienawidzić i czemu wbrew samej sobie doszukuje się w nim zalet. Przecież powinna sprać go w myślach na kwaśne jabłko, posiekać na kawałki, zabić na wszystkie możliwe sposoby, o jakich tylko dowiedziała się z książek. A jednak z uporem maniaczki przywoływała duże niebieskie oczy, ciepłe dłonie o długich szczyptych palcach, szeroki uśmiech odstaniający po prawej stronie krzywy ząb, który z czasem uznała za niepowtarzalny i uroczy. Zapisywała w pamięci każdy detal, by nie uronić ani lekko wygniecionej, ale nieskazitelnie białej koszuli, ani zakurzonych butów, ani lekko uniesionej w zdumieniu brwi. Której brwi? Nie mogła sobie przypomnieć, więc w parzyste dni zmieniała mu w myślach prawą, a w nieparzyste lewą brew. Kiedyś spróbowała sobie wyobrazić, jak wyglądałby, gdyby cały czas obie brwi były uniesione. Natychmiast parsknęła śmiechem, nie zauważając nawet, że matka od dłuższego czasu przygląda się jej bacznie, a potem doszła do wniosku, że takie spojrzenie tylko dodałoby mu oryginalności.

Gdy już zapisała w pamięci z fotograficzną dokładnością twarz i sylwetkę Jana, przyszedł czas na analizowanie jego każdego ruchu, słowa i myśli. Czy najpierw wyciągnął do niej rękę, a potem się przedstawił? Czy raczej odwrotnie? A może wszystko to stało się jednocześnie?

Potem zaczęła odczuwać przesył wspomnień i do głosu doszły marzenia. Dopisywała w myślach dalszy ciąg rozmowy, zmieniała początek i zakończenie. Sadzała siebie i Jana na kanapie, wyprowadzała z domu, najpierw nieśmiało tylko do ogrodu, potem na ulicę, do parku, nad rzekę. Wreszcie wchodziła z nim do restauracji, w której nigdy nie była, ale którą znała z opowiadań Marianny.

Gdy w jej nowym świecie niespodziewanie pojawiała się siostra, natychmiast zmieniała scenariusz, bo było tam miejsce tylko dla nich dwojga. Oczywiście pojawiali się też inni ludzie, ale tylko po to, by przyglądać im się z zachwytem i wzdychać z zazdrością: „Ach, jacy oni zakochani...”

Przed snem odmawiała pacierz, bo pamiętała, że babcia patrzy na nią z nieba, ale rozbudowywała modlitwę o własne prośby, które zdradzała szeptem tylko Panu Bogu.

* * *

Tego lata Teresa tak często popadała w zadumę, że matka zaczęła się o nią poważnie niepokoić. Córka prawie w ogóle nie wychodziła z domu, wymawiając się bólem głowy albo ciekawą książką, od której nie sposób się oderwać. Jeśli spędzała czas na dworze, to przeważnie w ogrodzie, gdzie godzinami potrafiła leżeć pod jabłonią i oddawać się rozmyśleniom o Janie. Gdy zorientowała się, że matka patrzy na nią coraz bardziej podejrzliwie, kładła się na brzuchu albo na boku i udawała, że czyta.

Nawet radia nie chciała słuchać, bo za bardzo ją rozpraszało. Tymczasem ojciec spędzał coraz więcej czasu, słuchając wiadomości i coraz częściej krzyczał na Mariannę, która wytkócała się o ulubione melodie.

– Zamęczy nas tata tą polityką... Ileż można tego słuchać? Ja tam w żadną wojnę nie wierzę... – marudziła i tak długo wierciła ojcu dziurę w brzuchu, aż machał z rezygnacją ręką i szedł posłuchać radia do sąsiadów. Wracał zwykle podenerwowany, bo stary Torzyski, który pracował na poczcie znosił z pracy same niepokojące wieści na temat zbliżającej się wojny z Niemcami. Po tych wizytach rodzice nieraz długo szepotali coś w kuchni, ale Teresa nie była zainteresowana ich tajemnicami. Nawet przygotowania do szkoły nie ożywiły jej, co w końcu wyprowadziło matkę z równowagi.

– Co się z tobą dzieje, dziewczyno? Chodzisz jak oczadziata! Już nie wiem, czy mi ktoś ciebie zaczarował, czy od tego siedzenia w domu całkiem zdziwaczałaś? – krzyczała Elżbieta Skrzydlewska. Szybko jednak zajęły ją inne sprawy, bo coraz więcej mieszkańek Grodziska pukało do jej drzwi z prośbą o uszycie nowej sukienki albo przerobienie starej garderoby. Bywało, że maszyna terkotała po nocach kilka razy w tygodniu, a matka rano ledwie przetarła oczy, już siadała do wykrojów i planowała kolejny pracowity dzień.

Chociaż ledwie nadążała z zamówieniami, znalazła czas, by uszyć Teresie do szkoły bluzkę i kilka spódniczek. Najbardziej cieszyły ją właśnie nowe rzeczy na córkach. Z przyjemnością obmyślała i przerabiała kreacje dla Marianny, a z pozornie niepotrzebnych resztek i znoszonych już sukienek starszej córki potrafiła wyczarować dla młodszej prawdziwe cuda.

Co roku Teresa z zachwytem przymierzała pod koniec wakacji nowe rzeczy, które wyszły spod matczynej igły. I chociaż nie była próżna, z utęsknieniem wyglądała początku szkoły, gdy będzie mogła zaprezentować się koleżankom w nowej sukience i świeżym mundurku z koronkowym kołnierzykiem. Tęskniła też za nauką, ale nie lubiła się do tego przyznawać, żeby nie zostać wyśmianą przez rówieśników, z których większość traktowała szkołę jak dopust boży.

Pierwszego września Teresa nie poszła jednak do szkoły. Obudziły ją krzyki ojca, który z przerażeniem ścisnął głowę i powtarzał: „O Boże! Mówiłem, że tak będzie, mówiłem...”.



Foto: Waldemar Gwizdata

Z. Marek Piechocki

Sytuacja 30

(osiedlowa)

Przesiaduje teraz na ławeczce pod blokiem
(nigdy nie miał na to czasu)

Mówi mi że bardzo słabo widzi

Sięga do koszyczka z truskawkami
wybiera je smukłymi palcami

Wychudzona dłoń ramię
koszulka jakby o dwa rozmiary za duża

Mówi mi o szpitalu
że to tylko czasowa zmiana metabolizmu
wypisany do domu ma dużo jeść

Rozmawiałem z jego synem
wie o rokowaniu
- tak do sześciu miesięcy, proszę pana

Dopiero teraz to wiem
kwadrans jest co kwadrans
dotąd liczyłem
godziny, dni, miesiące, lata
(czasem minuty
jeśli na Miłą czekanie)

Dzisiaj
ze szpitalnego łóżka styszę
co piętnaście minut
spokojne
wyważone w tonie
bim – bom
z wieży kościelnej

I tak to
prosty mechanizm
koło zębate
młotek
dwa małe dzwony
odmierza mi życie
co kwadrans obwieszczając

Minąłem

Od lat
mieszkają we mnie
- na razie bezimienne

Lekarka pani L.
zna wszystkie imiona
tych
co we krwi
w limfie
krążą

Wie że szukają miejsca
gdzie by osiąść
- jeśli znajdą odpowiednie
stosowną zasadzkę urzędzą

(to miejsce i imię znawcy ekranów
po łacinie napiszą
by właściciela ogłupić)

I dni
mimo że policzone przy początku
teraz
znaczone kroplówkami
pośród białych ścian
obcych
porozumiewawczych spojrzeń
dojrzewać będą szybciej



Foto: Waldemar Gwizdata

KAWAŁEK NIEBA

Aneta Gizińska-Hwozdyk

Naprzeciwko, w jednej sali, leży również pani Maria. Gdy ją tutaj wwieziono z zewnątrz świata, wszystko stało się nagle takie jasne. Ma osiemdziesiąt lat, ubrana jest w różową piżamkę, a na oparciu krzesła wisi jej różowa podomka. Choć nie, w tej sytuacji, lepiej nazwać ją szlafrocikiem, bo to przecież nie jest dom. Włosy pani Marii są jasne, bardzo siwe, najbardziej siwe włosy pod słońcem. Choć nie, w tym pomieszczeniu, włosy są najbardziej siwe, jakie mogą się przydarzyć w świetle jarzeniówek. Włosy pięknie się kręcą, jak gdyby wyrażając wszelkie poplątania i zwichrowania losu. Pani Maria ma pogodną twarz. Na szafce leży małe, różowe pudeteczko z pokrojonym jabłkiem z jakiegoś sadu w życiu poza tą salą. Jest tam również biały kubeczek z malutką, błękitną chmurką, zza której wygląda uśmiechnięte słońce. Pani Maria jest cała biało-różowo-błękitna i ma w sobie coś anielskiego. I w zasadzie jest tak, jak gdyby ona wcale nie miała prawie wieku życia za sobą. Jak gdyby przyleciała na obłoczku wprost do tego łóżka i znalazła się w samym środku tego innego, bardziej zamkniętego świata. Odzywa się ciepłym, matczynym głosem i proponuje kawałek jabłka.

Jutro pani Maria będzie miała obcięte obie piersi, które w tej chwili drążą swymi niewidzialnym szczypcami ponury rak.

Pani Maria zanurza swą dłoń w niewielkiej kosmetyczce w biało-niebieskie groszki. Wyciąga różaniec. Z dużymi, ciemnoróżowymi paciorkami. Takie różańce przywozi się z pielgrzymek do różnych sanktuariów świata. Pani Maria ścisła różaniec w dłoni i stopniowo, coraz silniej, zaczyna pachnieć w tej sali drzewem sandałowym. Przekłada paciorki, dotyka ich palcami i zaczyna modlitwę. Bezgłośnie, ruszając tylko ustami, wymawia słowa... *Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą...* Pogodny uśmiech. Ogromne skupienie. I spokój.

Za oknem nieprzerwanie trwa wielkie niebo. Teraz jest szare, ale może jeszcze dzisiaj stanie się błękitne. Chmury układają się w obrazy. Bliscy, zmarli, osoby, zdarzenia, duży klucz do jakiejś bramy. Wszyscy płyną na ekranie nieba. Przeptywają sytuacje, a życie trwa w jakimś zawieszeniu. Leżą, choć świat się toczy. Prześmak tego, że gdy zabraknie jednego człowieka, wszystko będzie nadal płynąć. Nieprzerwanie, różnorodnie, zawsze inaczej – na tym ciągle różnym niebie. Czas na zgodę z życiem. W nim też musi się wszystko i wypogodzić, i musi zagrznieć, i zabłysnąć raz po raz. A cierpienie jest jedną z dróg, z którą też trzeba się zmierzyć. *Nam wszystkim przydałoby się bardzo ujrzeć choć odrobinę, choć kawałek nieba...* Widok krzepiący i nikną obawy, i gubią się lęki. Wśród tamtych zdarzeń zaczyna się dostrzegać też siebie. Niebo jest tak wielkie, że wszyscy mają i wszystko ma tam swoje miejsce.

Pani Maria kończy przesuwając palcami po paciorkach różańca. Spogląda w niebo. Jej błękitne oczy zatrzymują się w jakimś jednym punkcie. Twarz znowu jest pogodna.

Do sali wchodzi pielęgniarka. Na stoliku kładzie ankietę. Trzeba ją wypełnić dla anestezjologa. To informacje potrzebne do jutrzejszej operacji. Jakie leki, jakie choroby, jakie problemy zdrowotne i inne. Spis tego, co życie do tej pory przyniosło człowiekowi. Pani Maria nie patrzy na ankietę. Jak gdyby wcale nie chce jej wypełniać. Wywiad. Pytania. Odpowiedzi. Lektura czyjegoś życia ważna dla lekarza. Nie ma w niej ani słowa o jabłkach z sadu, o ulubionym zapachu drzewa sandałowego zamkniętego w paciorkach różańca, o wijących się siwych włosach i różowym kolorze piżamki, która jutro zostanie zamieniona na szarą koszulkę operacyjną.

Ta kobieta z naprzeciwka jutro wychodzi do domu. Wraca do swojego świata. Do nowego życia. Ma jeszcze problemy z chodzeniem, ale z niej już wypędzono raka i – jeśli nie zagnieżdził się gdzieś jeszcze – być może nawet będzie w przyszłości całkiem zdrowa. Podnosi się. Wstaje. Podchodzi. Siada obok pani Marii. Bierze ankietę. Wraca po długopis. Nie, nie pasuje czarny kolor. Na szczęście ma długopis z niebieskim wkładem. Teraz, gdy drugi człowiek zaczyna zadawać pytania, pani Maria odpowiada. O żylakach. O wypadku samochodowym i zmiążdżonym biodrze. O nadciśnieniu i o tym, że serce niekiedy nie chce współpracować z właścicielką. I jeszcze o tym, że „synowa pokroiła jej jabłuszko, ale ona jakoś nie ma ochoty”, więc chętnie podzieli się zawartością różowego pudełeczka. Pani Maria opowiada o życiu. I także o tym, że: *Doktor każe leżeć, a potem się okaże, co z tego się wywiąże, czy zdrowie, czy śmierć...* Mówi o zwykłych sprawach. I ma się wrażenie, że cierpienie całkowicie już oswoiła, a rak stał się taką jej częścią, którą w pełni zaakceptowała.

Wypełniona treścią ankietą leży na stoliku. Czy można dotknąć paciorków różańca? Można. To wyjątkowy różaniec. Z pielgrzymki, na której wymodliła zdrowie dla bliskiej osoby. W duecie słowa modlitwy brzmią inaczej. Zwielokrotniają siłę. Nabierają mocy. *Módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej...*

Amen... O jedenastej każdego dnia są wypisy. Tymczasem pani Maria jeszcze czeka na operację. Różowa koszulka przewieszona na oparciu łóżka dzisiaj wygląda jak delikatna firanka w oknie do nieba. Schowany do wnętrza szafki kubeczek zaczyna czas oczekiwania. Na szafce pozostaje różaniec. Pani Maria życzy wszystkim zdrowia. Uśmiecha się. Pozostaje w cierpliwym oczekiwaniu na Boży plan, o który nie było pytania w ankiecie.

I jakoś dziwnie wszystko się zamyka. I siła modlitwy różańcowej. I akceptacja cierpienia. I takie życiowe „męczeństwo”. I nawet ten brak lęku, jeśli się ufa. I jeszcze to, że *niebo staje się piękne i bliskie*. Ludzka droga do świętości...

Trzeba mieć nadzieję, że pani Maria otrzymała w darze jeszcze trochę życia. Dobroć, pokora i tyle tych drobnych, życiowych zwycięstw, które z odwagą pozwalają patrzeć w niebo.

Opowiadanie wyróżnione w Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Ojciec Wenanty – czy znasz?” (Kalwaria Pactawska, 2022r.).

O CHŁOPCU, KTÓRY W NIEDZIELĘ SPACEROWAŁ ZE SWOIM TATĄ, ZARAZ PO MSZY

Mariusz Sobkowiak

– Pani Krystyno! Pani Krystyno! Mąż leży na drodze za kościołem, musiało go co potrącić. Chłopiec, słysząc te słowa, poczuł jakby uderzono go pięścią w brzuch. Sąsiadka stała przy drewnianym płocie, oczekując jakiejś reakcji ze strony matki Chłopca. Ta milczała przez chwilę, zanim rzuciła: – A niech zdechnie! – Po czym odwróciła się do Chłopca i spojrzała na niego swoimi niebieskimi oczami, takimi samymi jak jego. Znowu chwilę milczała, po czym powiedziała do niego: – Co? Tatuś twój leży na drodze. Pewnie się wyjebał po pijaku. Idź go ratuj. – Po każdym zdaniu robiła kilkusekundową przerwę, jakby uważała, że dzieciak jest opóźniony.

Chłopiec otworzył rozpadającą się drewnianą furtkę i ruszył przed siebie. Minął dzielony na pół z sąsiadami poniemiecki dom; minął przemysłowy sklepik, w którym kiedyś ekspedientka nie chciała sprzedać mu zapatek, po tym jak niechcący wywołał pożar, bawiąc się ogniem ze swoją siostrą bliźniaczką; minął drugi sklep, tym razem spożywczy, nie najtańszy, gdzie można było kupić coś na szybko, i w którym będąc młodszym, ukradł czekoladowy cukierek; a córka sprzedawczyni, wierząca w innego Boga, powie o tym swojej matce, która zbeszta go wprawdzie, lecz z uśmiechem; minął drogę prowadzącą skrótem na cmentarz, na którym kilka miesięcy później spocznie jego brat; a przecież jeszcze dziś rano grali razem na konsoli i ostatnie słowa, jakie powie do niego brat przed śmiercią, będą banalne – Zagraj sobie w Crusha, Crush jest fajny; minął poniemieckie domy z dachami pokrytymi zielonym mchem, w których mieszkają kolejni sąsiedzi, bo przecież w takich wioskach wszyscy się znają i wszyscy są sąsiadami; minął rozwidlenie dróg, z których jedna poprowadzi do domu, a drugą mógłby dotrzeć do dawnego pegeeru, w którym w lepszych czasach pracował Ojciec, gdy jeszcze wszystko go nie złościło, gdy chodzili razem na mecze lokalnej drużyny i gdy nie chciał się jeszcze zabić. Tutaj, przed kolejnym rozstajem, znalazł Ojca.

Ojciec leżał na drodze. Twarz miał zalaną krwią. Opuchnięty nos zdawał się wyrastać z twarzy pod dziwnym kątem. Krew sączyła się z rozcięcia nad lewą brwią. Gdy Chłopiec uklękł nad Ojcem, poczuł woń alkoholu. Mężczyzna, prawdziwy kolos, w porównaniu do wątłego ciała Chłopca, zbudził się i próbował wstać. Rzęząc i mruczając, podpierał się ręką i opadał z powrotem na rozgrzany asfalt. Chłopiec jeszcze nie myślał o całej sytuacji. Skupił się na tym, aby pomóc Ojcu przeczołgać się na trawę, co by nikt nie potrącił go na jezdni. Gdy, z niematem trudem, to się udało, wyciągnął telefon, by zadzwonić po pomoc. Dopiero wtedy podniósł wzrok znad ciała Ojca i zobaczył wszystkich ludzi, którzy zza płotów albo okiennych firanek przyglądali się całej scenie. I poczuł wstyd. Skóra zaczęła parzyć go od ich

spojrzeń. Najchętniej zniknąłby, stał się niewidoczny. Przez moment pomyślał, że gdyby cofnął czas, nie przyszedłby tutaj. Nie uratowałby Ojca. Skoro jednak był tutaj, nie mógł już się wycofać. Wybrał numer i zadzwonił po pomoc. Potem usiadł na trawie obok Ojca i czekał. Ojciec rzeził cicho, a on dopiero zaczął zastanawiać się nad całą sytuacją. Nad tymi ludźmi, którzy patrzyli zza płotów, wyglądali zza firanek. Żaden z nich nie przyszedł z pomocą. Jakby oglądali film. Film, w którym umiera jego Ojciec. Siedział na trawie, nie mając absolutnie nic do roboty. Czekał. O dziwo, gdy przestał już odczuwać wstyd, przestał też czuć cokolwiek innego. Nie martwił się już o Ojca. Przebiegła mu nawet przez głowę myśl, że jego śmierć nie byłaby wcale taka zła.

– Jeszcze trochę. Już niedługo... – rzucił Chtopiec w powietrze, niby do Ojca, ale tak naprawdę do nikogo.

Słońce piekło niemitosiernie. Gdy grzało prosto w kark, po którym lat się pot, Chtopiec odczuwał nieznośne pieczenie. Dobiegało południe, gdy przyjechała karetka. Z ambulansu wyszło dwóch mężczyzn. Chtopiec pomyślał, że uwolni go od ojcowskiego ciężaru i była to przyjemna myśl. Ratownicy pomogli Ojcu usiąść i dali mu coś do picia. Poświecili mu w oczy małą latarką i zadali kilka pytań, na które Ojciec odpowiadał głównie rżeniem. Postanowili zabrać Ojca ze sobą, ale gdy chwycili go w ramiona, ten ocknął się z letargu i zaczął uderzać ich pięściami. Odpuścili i zapytali, czy Ojciec wyraża zgodę na zabranie go do szpitala. Ojciec odpowiedział „nie”. Starali się wytłumaczyć mu, że mógł doznać poważnego urazu. Ojciec odpowiedział „nie”. Wyciągnęli więc dokument, który kazali podpisać, jeśli nie wyraża zgody na leczenie. Jako że nie był w stanie utrzymać długopisu, pomogli mu wykonać bezkształtny bohomasz na kartce. Powiedzieli coś do Chtopca, czego ten nie dostyszał i odjechali. Ojciec stał się na powrót problemem Chtopca.

Jako że mężczyzna odzyskał nieco sił i wróciła mu świadomość, Chtopiec nakłonił go, aby objął go ramieniem. Podnieśli się z trudem i ruszyli. O dziwo, posuwanie się do przodu nie było najtrudniejsze. Gdy szli, poruszali się siłą pchającego ich do przodu ciężaru Ojca. Trzeba było tylko dać mu upaść. To przystanki były najtrudniejsze, bo wtedy Ojciec zdawał się gubić środek ciężkości i przyciągała go do siebie zielona trawa. Z Ojcem obejmującym go ramieniem, minęli rozwidlenie dróg, z których jedna prowadziła do pegeeru, a druga do domu. W oknach domów i za szczebelkami płotów przybywało ludzi. Zdaje się, że cała wioska postanowiła obejrzeć ten niezwykle spektakl.

Wtedy upadli po raz pierwszy. Na szczęście Chtopiec prowadził ich po trawie, nie zaś chodnikiem, więc upadek nie był bolesny. Spojrzał na Ojca, a ten zdawał się uśmiechać.

– Synek... – powiedział mężczyzna, uśmiechając się lekko, przez zakrwawione zęby.

Gdy leżeli na trawie, oddychając ciężko, na twarz Chtopca padł cień. Podniósł głowę i ujrzał nad sobą pomarszczoną twarz swojej babci, matki Ojca.

Musiąta, zdaje się, wracać z kościoła, niedaleko którego umierał Ojciec. Stara kobieta najpierw przyglądała się Ojcu, z napięciem na twarzy, poruszając ustami, jak gdyby coś przeżuwała, jakąś myśl, po czym powiedziała przez zaciśnięte zęby, żeby Chłopiec przyszedł do niej później, to coś mu da i ruszyła swoją drogą. Chłopiec przez chwilę był zły na Babcię, ale zrozumiał, że wątpa staruszka nie mogłaby pomóc, nawet gdyby chciała. Ojciec w ogóle nie zauważył krótkiej obecności swojej matki. Gdy odpoczęli chwilę, syn szturchnął Ojca w ramię. Na ten znak mężczyzna zarzucił mu ponownie na spieczoną szyję swoje ramię i pozwolił się podnieść. Krok za krokiem, ruszyli w dalszą drogę.

Mijali poniemieckie domy, pokryte zielonym mchem. W każdym oknie twarze śledziły z zainteresowaniem ich wędrówkę. Wokół robiło się tłoczniej, gdyż ludzie wracali do domów z niedzielnej mszy. Drogą przejechało eleganckie auto. Gdy zrównało się z synem dźwigającym Ojca, zwolniło. Nie zatrzymało się jednak. To nie ich sprawa. Potem nadjechała kobieta na rowerze. Chłopiec znał



Foto: Waldemar Gwizdata

kobietę, uczyła go pisać i myśleć po polsku. Gdy była blisko, przyjrzała się im zupełnie bez skrępowania, uśmiechając się. Nie był to przyjazny uśmiech. Kilka lat później, Chtopiec nazwałby ten uśmiech kpiącym. Udawał, że nie zauważa kobiety, idąc dalej na przód.

– Już niedaleko... Jeszcze trochę – powiedział Chtopiec, patrząc w oczy Ojcu. Zagapił się wtedy, stracił równowagę i upadł po raz drugi.

Tym razem upadek był mocniejszy, bolesny. Ojciec zaklął głośno, lądując na ziemi. Chtopiec upadł na niego. Wokół nich zbierał się tłum. Jakieś kobiety głośno krzyczały – Józek! Coś ty sobie zrobił! – ale nadal nikt nie zaproponował pomocy. – Dobrze jest... Wszystko dobrze jest... – powtarzał, uśmiechając się lekko, jakby ironicznie, mężczyzna.

Pod wzrokiem gapiów Chtopiec wytrzymał wszystkie siły, aby unieść Ojca. Chciał zejść im wszystkim z oczu. Gdy podźwignął ciało Ojca, zaczął stawiać kroki szybciej. Doszedł do wniosku, że prowadzenie pijanego Ojca przypomina jazdę na rowerze. Gdy pedałujesz powoli, istnieje większe ryzyko, że rower się przewróci. Gdy nabierasz prędkości, rower jedzie stabilnie. Truchtał więc, prowadząc Ojca jak rower i oddalał się od tłumu gapiów. Minęli drogę prowadzącą na cmentarz. Jeszcze trochę, jeszcze tylko trochę. Tutaj kończyła się trawa, a zaczynał betonowy chodnik. Nie mieli więc wyjścia i w dalszą drogę ruszyli chodnikiem. Teraz nie mogą już upaść, bo kilkadziesiąt kilogramów Ojca upadające na chodnik może wyrządzić krzywdę im obojgu. Chtopiec był w tym momencie potwornie zmęczony. Chciał do domu. Gdy mijali sklep spożywczy, w którym kiedyś ukradł cukierek, zmęczenie zrobiło swoje. To ze zmęczenia upadli po raz trzeci. Aby ratować Ojca, Chtopiec pchnął go mocno i mężczyzna zamiast na betonowy chodnik upadł na piasek przed sklepem przemysłowym, w którym kiedyś Chtopcu nie chcieli sprzedać zapatek. Ojciec zarył twarzą w piasek, a jego syn upadł na plecy, na chodnik. Zabolato, aż dzieciakowi zadzwoniły zęby. Leżał chwilę, ciężko dysząc i czekając, aż ból minie. Gdy tak leżał na twardym chodniku, zdał sobie sprawę, że nie słyszy ojca. Niemal bezwiednie poderwał się z ziemi i rzucił w kierunku sklepu. Na piasku leżał Ojciec. Oczy miał zamknięte i nie wydawał z siebie najmniejszego szmeru. Syn, pełen złych przeczuc, pchnął go w ramię i mężczyzna otworzył oczy oraz wydał z siebie znajome rżenie. To uspokoiło Chtopca. Uśmiechnął się po raz pierwszy i podźwignął rżącego Ojca.

Gdy dotarli do bramy w rozpadającym się płocie, naprzeciw wybiegli bracia Chtopca. Zabrali Ojca z jego rąk i, nie mówiąc słowa, zaciągnęli do wnętrza domu. Chtopiec usiadł na trawie, trochę kręciło mu się w głowie. Poczuł, jak opuszcza go adrenalina, a wraz z nią resztki sił. Położył głowę na trawie i patrzył w niebo. Płynęły po nim chmury o najróżniejszych kształtach. Jedna przypominała drzewo, a inna świnkę. W domu jego bracia próbowali nakłonić Ojca, by położył się do łóżka. Obnażyli go z szat. Przybili do krzyża.

WIERSZE

Julia Kruszakin

wieczór w pustkach

wieczorowy ptasi klangor
sunie wartko przez niebiosą;
rozrzedzony śpiewem dębu
tnie ametyst niedowrzosa

bezustannie się rozrasta
dławiąc w sobie żar istnienia –
trwa potęgą wiecznej nocy
krążąc: z ducha do wcielenia

pod sklepieniem drzew

rozwarstwione kształty drzew
rozrosły się: obco – płynnie –
na strukturze niebios-wszech
milcząc szeptem – utopijnie

rozedrgały przestwór zim
tnąc (na ukos!) zórz-sklepienie
wplatać się zaczęły w sny –
widnokręgów smug istnienia

kontur drzew przystania dał:
bezkres toni rozebranej – –
zarys mgieł nie niknie – trwa
przestwór nocy rozptatanej

preludium świtu

matowieje niebo – spójrz!
blednie cicho w krańcach bytu –
ponad firmamentem zórz
mży zbieła pieśń przedświtu;

rozpostarty blady ton
spłowiatego poematu
wznosi pod widnokrąg dzwon
rozwidniając rdzeń zaświatów;

dnieje z wolna marzeń skra
przenikając wachlarz słońca –
to miraży widmo trwa,
skrzy się rys przestworu końca;

nieskończony senny mit
trwa w przestrzeni niepojętej;
tkany – na wzór gwiazdy – świt
śpiewa wciąż ballady święte

WIERSZ, KTÓRY NIE MA TYTUŁU

Green Simon

WĘDrówKa _ _ _ ŻYCiA
 jAk KruchA .-.- MELOdia,
 NAd strUną czaSu
 gRa nieuBłagAnie.
 ZłuDZENia młODOści:
 SzybKo ! MArnieją,
 A w cHoroBiE LOsu
 pŁoMień przygasa...
 W ciSzy...
 ziemskiEgo
 ZmiERZchu
 tkwi NiEmoc w dUszy
 jak cień.
 mRok
 co NaD. serCem kRąŻY,
 NicZym sEn [*] cO ściGa,
 PRZECieŻ przeMinie...

 w OCzach (.) (.) przeMiJaniA
 BłeDNą barWY,
 ZmiERZch
 w dUszy ToNIE,
 A Niemoc...
 ...tRwa jAk cichy LaMEnt,
 :(jAk sMUTek persistent.

Foto: Hanna Kaup



WIERSZE

Bartek Orzeł

* * *

miłaś szczęście poznać
moje najgłębsze doły

kończąc je zasypywać
wyciągnąłem do ciebie
rękę

rzuciłaś mi łopatę
i syknęłaś jak wąż:
- Jestem tu i wszystko
widzę. Kop głębiej.

NIEODPOWIEDZIALNY STRAŻNIK

na łące mej
nie słychać nic
i nie przeszycie mojej wyobraźni
żaden straszny krzyk

tu cisza trwa
ma spokój nieść

nie pytaj mnie
na czym gram
bo na tej łące od stuleci
absolutny spokój

nie pytaj mnie
czy wróci znów
śpiew radosnego chrząszcza w trawie
w księżycowy złoty nów

gdzieś nagle
dźwięk jak strzała mknie

nie zaznam już rozkoszy
katowski topór na mnie czeka
na katowskim grubym pniu

KORONAWIRUS W KACZYM SERAJU

Ferdynand Głodziak

W stynnym Kaczym Seraju u progu Edenu,
wielki sułtan panował, co nie miał haremu,
nie gromadził brylantów, luksusów ni złota,
a w pałacu jedynie perskiego miał kota.

Za to dwór jego liczny oraz okazały,
zdobny w broszki, klejnoty, co się należały,
wielu w nim dostojników, ministrów, etatów,
bo ten Seraj się składał z kilku emiratów.

Refren

Radio stawia potęgę Allacha,
Wielki Mufti wysiada z Maybacha,
nieustannie domaga się kasy,
a niewiernych by chętnie wziął w jasyr,
bijmy czołem, bo ciężka jest dola,
w tej ruinie podnieśmy się z kolan.

II

Smutne wieści nadeszły od wielu emirów,
Jest wróg w państwie, którego zwą
koronawirus.

Wróg to bardzo okrutny, bezwzględny,
pazerny,
Którego nam przywlekły czeredy
niewiernych.

To zaraza okrutna, groźniejsza od trądu,
Która ludzi zaraża i stada wielbłądów
Muezini przez radio wołają na trwogę,
Niechaj wróg ten przepadnie, niech strawi
go ogień.

Refren

Radio stawia potęgę Allacha,
...

III

Aby wroga pokonać, uniknąć dramatu,
przywrócono w Seraju znów prawo szariatui.
Oto wróg dogorywa, mrą wraz pomory,
bowiem wszyscy w Seraju już noszą czadory.

Nikt już w mediach prawdziwej nie pokaże
twarzy,
znowu będą się różnić, znów będą się
swarzyć.
Czy się związki przyjazne w Seraju rozpadną?
Bo ich Sułtan połączył tylko błoną pławną.

Refren

Dzielny wezyr znów mieszać zaczyna,
potem mówi, to nie je go wina,
Divan radzi dniem całym i nocą,
tęgie głowy z wysiłku się pocą,
tworzą nowe koncepty i cuda,
nikt już nie wie, jak grać na tych dudach.

Zbigniew Witostawski

PRESTIDIGITATOR

zręczny kuglarz wyciąga z kapelusza
cokolwiek dbając aby krwią
nie skalać bieli gołębiczy
syntetycznej nie trzeba karmić
się nie starzeje byle tylko
czasem naoliwić wtedy łatwiej
przez meandry kłamstw prześlizgnąć się
królikowi mającemu za uszami
źdźbło uchodzące za tąkę
dlatego prawdy nie nosi się w lektyce
raczej niedbale się z nią postępuje
po kątach upycha pokątnie handluje
a ona błędzi po bezdrożach groteskowych odbić
mętniejąc w martwych lustrach
przez co nie da się ocenić szczerości spojrzeń
zresztą i tak nikt nie patrzy w oczy
iluzjonisty

DIAGNOZA

w ciemność odchodziła schorowana nadzieja
nikte ślady przypomnień zacierał zmrok
suche bruzdy po łzach wypełniał cień rezygnacji
błędnie postawiona diagnoza brzmiała mądrze
słowa puszyły się nadymaty tymczasem
motyle odleciały w kierunku z jedną niewiadomą
śpiewające unisono rajskie ptaki zatraciły się w głuszy
robaczki świętojańskie przystąpiły do strajku na podłożu
na dodatek samotne odsetki od kredytu zaufania
przerosły na wylot szczeliny i pęknięcia
w zimnych rozpadlinach
zaplątana we własne niedopowiedzenia
nieodpowiedzialnie walcząc o przetrwanie
w ciemność odchodziła schorowana nadzieja

NELA

Tomasz Korbanek

Kładzie się obok w fałdach pościeli
futrzana postać
na czterech łapach,
szczenięcym wzrokiem
prosi o czas,
o dotyk dłoni
- palczasty promień
księżycy w pełni
rozchylający
płatki storczyków na parapecie.
Człowiek i zwierzę, skóra i sierść,
świat z przypowieści,
z bajek Ezopa
kołyszże do snu
tąką półcieni,
otula kołdrą
imaginacji.

Leży koło mnie w kwiatach z poszewki
futrzana postać chora z tęsknoty,
trąca nozdrzami, prosząc o dłoń.

Foto: Hanna Kaup



CHOROBA A FIZYKA I MITOLOGIA

Łucja Fice

Wiadomo już, że żyjemy w świecie kwantowym, bo naszą rzeczywistość kształtują kwanty. Ta teza może nie mieścić się nam w głowie i może zaprzeczać naszej intuicji płynącej ze zdrowego rozsądku. Materia naszego ciała składa się z niewyobrażalnie małych cząstek subatomowych, które na kwantowym poziomie są ze sobą „splecione” i wiedzą o sobie, choćby nawet jedna z nich znajdowała się w innej galaktyce. Na tym poziomie panuje niezwykły system więzi, a początek każdej choroby właśnie tam się zaczyna – w tym jądrze komórki, w którym dwa fotony oplata odwieczna sieć.

Słowo *więź* skojarzyłam ze słowem *lekarz*, bo gdy człowiek zachoruje, a może to stać się nieoczekiwanie, to te niewidoczne nici zaciskają się również pomiędzy chorym a lekarzem. Więzi te mają różny charakter i różne formy wyrazu. Lekarz powinien słuchać, to jego konieczność, która ma w mitologii na imię ANANKE. Homer pokazał tylko córę Ananke, Mojrę i jej nadat twarz. U Hezjoda są aż trzy Mojry. Jedna z nich przędzie na wrzecionie, druga czuwa nad długością życia, a trzecia czeka z nożycami. Ajschylos nazywa ją silną Mojrą Ananke. Lekarz składający przysięgę Hipokratesa powinien wystuchać historii pacjenta, wejść w jego prywatny, intymny niekiedy świat, stworzyć te unikatowe więzi na najniższym, kwantowym, duchowym poziomie. Jak jest dzisiaj, gdy medycyna stała się mechaniczna, pozbawiona tego delikatnego kontaktu? Dzisiaj lekarz liczy zyski, ma ściśle wyznaczony czas piętnastu minut, co powodować może u chorego dodatkowe frustracje i pacjent sam musi szukać przyczyny choroby i niekiedy stawiać sobie sam diagnozę, słuchając „Doktora Google”. By przebić się do świata chorego, potrzeba czasu i tych więzi, o które w tym mechanicznym świecie coraz trudniej. Coraz rzadziej mamy szczęście trafić na czutego, dobrego lekarza, więc leczymy się prywatnie. Lekarz wówczas daje nam uwagę i wtedy łatwiej jest o te więzi. Czy tak być musi, jeśli całe dorosłe życie ptacimy ubezpieczenie? Chory pacjent jest samotny w obliczu choroby, a dobry lekarz bywa jak artysta, bo medycyna i jej sztuka to system oparty na mocy słowa. Lekarz powinien być jak magik, bo od niego zależy powrót do zdrowia. Ufamy lekarzom, ich słowom, jak zaklęciom, bo słowa albo leczą i dają nadzieję, albo zabijają. Lekarz, z którym łączą nas te niewidoczne więzi, szybko postawi diagnozę.

Jest takie angielskie przysłowie: „gdy usłyszysz stuk kopyt, rozglądaj się za koniem, gdyż zebry są rzadkie.” Rozpoznanie choroby, postawienie diagnozy, jest jak rozmowa Hamleta i Poloniusza obserwujących obtoki.

Hamlet: Widzisz ten obtok? Ten w kształcie jakby wielbłąda?

Poloniusz: Jak mi Bóg miły, istotnie jakby wielbłąd.

Hamlet: Mnie się wydaje podobny do tasy.

Hamlet: Albo do wieloryba.

Poloniusz: Zupętny wieloryb.

(W. Shakespeare, Hamlet, akt III, scena 2)

Choć dziś medycyna na wysokim poziomie, to systemy opieki chwieją się i wiemy dlaczego.

O OBECNOŚCI NIEOBECNYCH

Anna Dominiak

„To, co piszę do Ciebie, to po sześciu latach niepisania próba powrotu do klawiatury laptopa. Zapewne też konieczność podzielenia się tym co było, jest, z Tobą” – czytamy w jednym z listów składających się na najnowszą, wydaną po kilku latach artystycznego milczenia, książkę Zygmunta Marka Piechockiego.

„Listy po czasie” to zbiór szesnastu korespondencji, których adresatem jest zmarły w 2021 roku Ireneusz Krzysztof Szmidt, postać szczególna dla literatury, dla Gorzowa i dla nas, związanych z tutejszym środowiskiem. Książka jest świadectwem więzi, która łączyła obu poetów i jak się okazało, przetrwała czas i śmierć. Marek Piechocki kolejny raz swoim pisaniem dowodzi, jak wielką wagę przywiązuje do relacji z ludźmi, i jak bardzo docenia ich obecność w swoim życiu. „Listy po czasie” to uderzający autentyzmem monolog poety do kogoś, z kim nie dokończył najważniejszych rozmów, bo jak mówi:

„Jakże często postępujemy wobec siebie zdawkowo, spotykamy okazjonalnie. Potem pozostaje niedosyt, poczucie winy, że mogłem. Teraz oddawanie”.

Te listy przypominają momentami dziennik, w którym autor wspomina lata szczególnej znajomości z Irkiem, ale też dzieli się swoimi myślami, uczuciami, tęsknotami, pasją do muzyki i literatury. Opisuje także swoje życie po śmierci przyjaciela. Mówi o innych ludziach, żyjących, ale także tych, którzy odeszli, o zmianach, jakie zaszły w Gorzowie.

Obu twórców łączyła relacja, której sam autor nie potrafi jednoznacznie nazwać. Już w pierwszym liście przeprasza za poufałość w użyciu świadczącego o zażyłości epitetu, ale po chwili stwierdza, że łączyło ich szczególne porozumienie:

„Nie byliśmy jakoś bardzo blisko, ale w bliskości”.

Czytamy o Zmarłym jako przyjacielu, który odegrał, nie tylko w życiu autora, rolę cieszącego się wielką estymą mistrza. Wyraźnie brzmi tu ton wdzięczności, który czyni z „Listów po czasie” pewien rodzaj hołdu złożonego wybitnemu i wszechstronnemu artyście. Hołdu, w którym nie ma patosu i wielkich słów, ale nakreślony wrażliwą ręką poety portret zmarłego mentora.

Przed wszystkim Piechocki wspomina tu dzieje znajomości z autorem „Odpowiedzi na pytanie Hamleta”, która rozpoczęła się u progu twórczego rozdziału w życiu poety. Mówi o ważnych spotkaniach, wsparciu, jakie otrzymał od Zmarłego jako początkujący twórca, wspólnie wystuchanych koncertach, podobnej wrażliwości. Na te wspomnienia nakładają się doniesienia z tego, co przynoszą kolejne dni. To książka pełna dygresji o konkretnych zdarzeniach, wspólnych znajomych, którzy żyją, ale również o tych, którzy odeszli. Odnajdujemy tu także

przemyslenia o świecie, pięknie sztuki i natury, o tym, co czyni życie szczęśliwym i spełnionym. Piechocki ze stoickim rozsądkiem pisze o odchodzeniu, dobijaniu do brzegu istnienia. W jego myśleniu o życiu zawsze była i jest obecna etyka chrześcijańska z jej ściśle określonymi nakazami. Autor daje wyraz ufności w sens tak pomyślanego świata, w którym wszystko kiedyś się kończy. Literatura, poezja – jak się okazuje – to obok religii droga ocalenia od niebytu.

Bo przecież każda śmierć jest małym końcem świata, a śmierć adresata tej książki – czujemy to bardzo wyraźnie – zamknęła pewną epokę w dziejach naszego miasta i środowiska.

„Listy po czasie” to przekaz wielopoziomowy, mimo że wyrasta z narracji o konkretnej stracie. Prześiąknięte indywidualnym punktem widzenia refleksje są tu jednocześnie formą samopoznania, aktem introspekcji, mówią o zwątpieniach, kryzysach egzystencjalnych, chorobach, które alienują ludzi.

Nie po raz pierwszy Marek Piechocki używa w swoim pisaniu formy epistolarnej. W „Listach po czasie” pozwoliła ona nie tylko przypomnieć, ale także stworzyć iluzję obecności bohatera tej historii. Osobisty, powściągliwy i daleki od egzaltacji ton jest tym, co zarówno w poezji, jak i przekazie epickim wyróżnia pisanie Marka Piechockiego. Nie ma tu wielostowia ani puste ornamentacji.

To, co pozostaje po lekturze tej przejmującej opowieści o wielkim Nieobecnym, to przekonanie, że to, co w naszym życiu prawdziwe, nie podlega limitowi wyznaczonemu przez śmierć. W tle tego konfesyjnego wspomnienia otrzymujemy portret jesieni. Ilustrujące książkę obrazy brata poety, Juliusza Piechockiego, mocno nasączają ten przekaz aurą melancholii.

Zygmunt Marek Piechocki, „Listy po czasie”, Gorzów, 2023



Foto: Waldemar Gwizdata

STARA KOBIETA CZYTA BAJKI

Agnieszka Moroz



C.S. Lewis pisał: *pewnego dnia będziesz wystarczająco stara, by znów czytać bajki* i niedawno do-tarło do mnie, co miał na myśli. W chwili, gdy na świecie pojawił się mój syn Miron, osunęłam się w świat baśni, bajek oraz książeczek dla dzieci, czerpiących z wszelkich możliwych konwen-cji, niczym Alicja wpadająca do króliczej nory. Odtąd odkrywam go z zupełnie nowej perspektywy, podróżując po barwnych literac-kich krainach z szeroko otwartym

umysłem, ciekawością i zachwytem – paradoksalnie większym niż ten, do jakiego mogłam być zdolna w dzieciństwie. Kiedy byłam małą dziewczynką, dni zdawały się wlec w nieskończoność, a baśniowe opowieści szybko mi powszedniały. Te-raz, gdy mieszkam blisko natury, żyję uważniej i mam już za sobą doświadczenie poznania całej goryczy dorosłości, moje zmysły na nowo wyostrzyły się i potrafię docenić moc wyobraźni. Chętnie dosypuję więc magii do naszej codzienności!

Ostatnio zawędrowałam w ten sposób do świata lokalnej literatury dziecię-cej i miałam okazję przeczytać trzy wydane w Lubuskim książki: „Księżycowe nadzieje” Weroniki Górnickiej, „Antosia” Sylwii Kubik oraz „Jaskółki (nie)bajki o marzeniach” autorstwa podopiecznych świetlicy „Jaskółka”, działającej przy gorzowskim Hospicjum św. Kamila.

„Księżycowe nadzieje” to pięknie wydana bajka z oryginalnymi ilustracjami Katarzyny Grabias-Banaszewskiej, malowanymi techniką barwnej plamy oraz kreski, których styl i kolorystyka doskonale akcentują tło historii z pogranicza jawy i snu. Książka opowiada o chłopcu, który pewnego dnia poczuł się bardzo źle. Nie umiał stwierdzić, czy jest na coś zły, czy po prostu smutny. Wiedział tylko, że pragnie uciec tak daleko, by nikt nie był już w stanie go znaleźć. Skonstruował więc balon do podniebnych lotów i wyruszył w stronę Księżyca. Ale gdy znalazł się na granicy ziemskiej atmosfery, odkrył, że samotność nie rozwiąże jego problemów. Bajka Katarzyny Górnickiej porusza bardzo ważny i aktualny temat, który latami był przez nasze społeczeństwo bagatelizowany. Chodzi o trudność radzenia sobie z negatywnymi emocjami, jaka dla rozwijających się dopiero umysłów jest

często murem nie do pokonania. Wystarczy sięgnąć po raport o stanie zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży „Młode Głowy”, opublikowany w kwietniu ubiegłego roku przez Fundację Unaweza, by przekonać się, jak źle żyje się polskim dzieciom w świecie wirtualnej perfekcji social mediów i w cieniu odwróconych plecami, wiecznie nieobecnych rodziców-multitaskerów. Zgodnie z raportem, co trzecie dziecko w naszym kraju nie ma chęci do życia, a niemal 40% doświadczyło myśli samobójczych. Nie chcę upraszczać tego bardzo złożonego zjawiska poprzez założenie, że wystarczy przeczytać z dzieckiem odpowiednią książkę, by uchronić je przed pogrążeniem się w morzu niskiej samooceny i klinicznej depresji. Dostrzegam jednak duży potencjał w tej i podobnych opowieściach, stanowiących narzędzia do pracy z dzieckiem. Mądrze napisane bajki mogą pomóc nam stworzyć solidne podstawy i stać się punktem wyjścia do kolejnych rozmów z maluchem o jego uczuciach, planach czy motywacjach. A im szybciej tę pracę u podstaw zaczniemy, tym lepiej. W „Księżycowych nadziejach” ujęły mnie słowa astronauty, który wyjaśnił chłopcu, że każdy z nas jest CZŁONKIEM jakiegoś ZESPOŁU, a zespół ten (tak jak załoga kosmicznego promu) musi ze sobą rozmawiać i sobie ufać, by nie doprowadzić do katastrofy. Podobają mi się również konotacje, w kierunku których wiedzie nas zarówno tytuł, jak i koncepcja książki. Pomysł głównego bohatera był wszak totalnie... z księżycą! Dopiero astronauta niejako „sprowadzili go na ziemię”. Jeżeli posłużymy się tymi frazeologizmami, łatwo zobrazujemy swojej pocieszę sens całej bajki.

„Antoś” Sylwii Kubik to baśń należąca do serii „Mgnienia dobra”, opatrzona uroczymi ilustracjami Emilii Baczyńskiej-Majchrzyckiej. Zgodnie z założeniem wydawnictwa Na szczęście, cykl ten ma nawiązywać do bajek w stylu retro, które wymyślało się na poczekaniu i opowiadało dzieciom przed snem, nie zapominając rzecz jasna o obowiązkowym morale. I rzeczywiście, czuje się w niej ducha literatury oralnej – ze światem przedstawionym pełnym mocnych kontrastów i spontaniczną narracją, wymykającą się konwencjom. To, co w niektórych partiach opowieści jest zaletą, w innych staje się jednak jej wadą i być może jest to właśnie efekt owych narzuconych fundamentów. Tytułowy Antoś jest ubogim chłopcem, mieszkającym ze schorowaną i ciężko pracującą matką. Kulawy chód i jąkanie chłopca sprawiają, że jest stygmatyzowany i wyśmiewany przez inne dzieci, co jeszcze pogłębia jego poczucie wyobcowania. Pewnego dnia Antoś znajduje nad rzeką wyblakłego motyla z jednym skrzydłem i postanawia się nim zaopiekować. Odtąd jego życie całkowicie się zmienia. Czarodziejski motyl staje się przyjacielem chłopca i odwdzięcza się mu za opiekę, sprowadzając do domu Antosia dostatek.

Wizja motyla, który utracił kolory i odzyskał je za sprawą magii szczerych uczuć chłopca, przemówiła do mojej wyobraźni i przypomniała mi historyjki, które w dzieciństwie układała dla mnie Mama. Mimo tego, w bajce o Antosiu zabrakło

mi zwrotu akcji, który objąłby dzieci wyśmiewające chłopca. Ich nietolerancja wobec inności chłopca musiała przecież wynikać z niewiedzy i z braku empatii, której nie zostały nauczone, a nie z faktu, że były z gruntu i do szpiku kości złe. Szkoda, że autorka nie dała tym bohaterom szansy na zrehabilitowanie się. Zastanowił mnie również podział na bogate i biedne dzieci, o którym jest mowa na początku, a który staje się nieistotny w miarę rozwoju fabuły, gdyż towarzyszymy w niej jedynie dzieciom z uboższej warstwy społecznej. Powstaje pytanie, czy podkreślanie finansowych nierówności nie wpływa na kształtowanie się przyszłej skłonności młodych ludzi do uczestnictwa w budowaniu społecznej polaryzacji.

Największe wrażenie spośród trzech wzmiankowanych publikacji wywarła na mnie niepozorna książeczka „Jaskółki (nie)bajki o marzeniach”, będąca owocem warsztatów literackich, przeprowadzonych przez Agnieszkę Kopaczyńską-Moskałuk z podopiecznymi świetlicy „Jaskółka”. Zawarte w niej bajki i nie-bajki emanują czystą radością tworzenia, która rzadko pobrzmiewa tak wyraźnie w tekstach stworzonych jako kreatywne próby. Efektu dopełniają barwne dziecięce rysunki, wybrane i uporządkowane przez niezawodną Monikę Szalczyńską.

Najdłuższa i najważniejsza z bajek ze zbioru dotyka problematyki żałoby i w niezwykle poruszający sposób opowiada o mierzeniu się ze stratą bliskiej osoby. Historia Jaskółki wyruszającej z grupą przyjaciół na poszukiwanie utraconej Radości dobrze oddaje uczucie beznadziejnej tęsknoty za tą jedyną, bliską osobą, której nie da się zastąpić. Odpowiedzią okazują się wspomnienia Jaskółki, które wciąż są w niej obecne – jak najpiękniejsze ruchome kadry, a przyjaciele pomagają jej sobie o nich przypomnieć.

Kiedyś nie rozumiałam, dlaczego mówi się, że zmarli bliscy „żyją dalej w nas”. Sądziłam, że chodzi o geny, o podobieństwa i więzy krwi. Po latach wiem jednak, że w tym powiedzeniu chodziło o pamięć i najpiękniejsze wspomnienia o ukochanych osobach, które w sobie nosimy. Bo te wspomnienia „istnieją poza czasem”.

Foto: Waldemar Gwizdata



Helka Cąkała

30 kwietnia 1997

Idę sobie tą samą trasą, co zawsze. Przystaję na światłach. Ruch jak zwykle, poranny szczyt, więc hałas, ale w tym hałasie słyszę coś nowego, coś jakby dźwięki harmonii. Po drugiej stronie ktoś gra. Zmiana świateł. Idę zaciekawiona, a tu – o jasna stokrotko! – siedzi wprost na asfalcie, plecami oparty o filar chłop wielki, czarny i mroczny, z gębą usianą strupami, jakby przed chwilą wstał z łoża boleści po przebytej ospie. Obejmuje harmonię guzikówkę, gra i śpiewa ochryptym głosem w jakimś niepojętym języku, coś jak protest song. Przed nim pudełko po konserwie z samotną złotówką dla informacji i zachęty. Przechodnie odwracają głowy i śpiesznie pomykają zawstydzeni jacyś i zakłopotani. Słyszę:

– To Rumun.

– Coś pani! To Cygan. Tyle tu tego naściągato, żyć nie dadzą. – A ja w chmurze wątpliwości: dać – nie dać, przechodzę jak inni i zaraz dopada mnie myśl: A może to inwalida? Może głodny? Czy leżą gdzieś kule? Oglądam się. Nogi ma obie. Nie mogą zatrzymać się na dłużej, bo do pracy, ale niepokój zostaje, źle mi z tym. Ten instrument ... i głos. Słyszałam gdzieś... kiedyś... dawno. Ach, już wiem.

To była wiosna 1946 roku. Jechaliśmy pociągiem. Mamusia, ja i mały Michaś. Długo jechaliśmy. To był dziwny wagon. Potem już nigdy takich nie widziałam. Coś jakby lora zadaszona. Wzdłuż ścian były ławy. Po środku wolna przestrzeń, po której mogłam biegać. Nudziłam się, podróż była długa. Wreszcie pociąg stanął. Warszawa. Rwetes i strach, żeby się tylko nie zgubić. I naraz pojawił się tatuś i pomógł nam wysiąść. Pamiętam wielką halę i ogromne drzwi teraz otwarte. W tych drzwiach siedziały przekupki z koszami, a mnie nie wolno było oddalać się nawet na krok. Tatuś pojawia się i znikał, chodził dowiadywać się o pociąg, bo to nie był kres podróży. Rozglądałam się i wypatryłam wśród przekupek kobietę z lizakami. Lizaki! Czerwone, wielkie jak talerzyki deserowe. I zapragnęłam takiego lizaka jak dotąd niczego na świecie. Liznęłabym tylko raz, no może dwa razy i zawinęłabym z powrotem w ten przezroczysty taki jakby papierek, żeby mieć jeszcze na jutro. Na pewno starczyłby na długo. Rozmarzyłam się, a tu nagle tatuś woła, łapie tobóć, a mamusia Michasia i biegniemy. Szybko, szybko. Do pociągu. Tatuś mnie unosi w górę, w okno, jakiś pasażer odbiera. Nie zdążyłam się przestraszyć i już do przedziału wchodzi rodzice. Zajęte! Zajęte! Przedział zamykany. Tu nie ma miejsca do biegania. Po pewnym czasie ruszamy. Za chwilę drzwi się uchylają, staje w nich jakiś pan i zagaja:

– Dzień dobry – Tatuś odpowiada, a on ni to pytająco, ni to twierdząco:

– Jedziecie?

– Ano jedziemy.

– To pańska żona?

- Tak.
- A to pana dzieci?
- Moje.
- Panie, daj pan zapalić. – Tatuś wyciąga papierośnicę i częstuje.
- Mogę dwa?
- Nie – odpowiedź była krótka i kategoryczna. W papierośnicy były równiutko ułożone papierosy wyprodukowane przez matkę z własnego tytoniu wysianego na skopanej części podwórka. Musiały potem być poddane jakimś zabiegom. Pamiętam, jak mamusia kroїła nożem na desce duże liście wyprasowane i zwijane. A kroїła tak cieniutko, że było to przedmiotem opowieści rodzinnych. Nic dziwnego, że ojciec nie chciał być rozrutny, jeśli idzie o papierosy. Poczęstowany gość wycofał się, a po chwili przyszedł następny. Dialog się powtórzył. Kiedy ukazał się trzeci, ojczulek nie wytrzymał. Na grzeczne „Dzień dobry” grzecznie odpowiedział:
- Dzień dobry. Jedziemy. To jest moja żona, to są moje dzieci, masz pan papierośsa i idź pan do diabła. – Za chwilę otworzyły się drzwi i stanął w nich jednonogi harmonista. Zagrał i śpiewał:
- „... pod choźg idzie z butelką dziewczyna, by zapłacić im
za zburzoną, kochaną stolicę i za zgliszcza też,
za gruzów dziś pełne ulice, za powstańcżą krew...
Nie płacz matko nad grobem powstańca,
nie potrzeba też.
Taka jest dola...” – z początku cicho, teraz rozryczałam się na cały regulator, a mamusia mną potrzasała. – Czego becysz, głupia? No czego, czego? Przestań płakać.
- Bo ja nie chcę za krew... nad grobem... uuueee.
- Teraz, pięćdziesiąt lat później weszłam w drzwi mojego miejsca pracy. Wróciłam do rzeczywistości. Wiem, dlaczego obejrzałam się, czy grajek ma obie nogi.

Foto: Waldemar Gwizdata



PEGAZOWO, ZAPIECKOWO, WSPOMNIENIOWO...

Beata Igielska

Nasze spotkania i promocje „Pegaza Lubuskiego” odbywały się dotąd w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wlkp. Tak zakodowało się to miejsce w nie tylko mojej świadomości...

A tu nagle styczniowa niespodzianka i zaproszenie od Klubu na Zapiecku i jego szefowej, Barbary Schroeder, do Miejskiego Ośrodka Sztuki!

„Na skrzydłach Pegaza” – to hasło spotkania, które trwało ponad dwie godziny, zgromadziło wielu widzów, okazało się inspirujące i bardzo owocne.

Całość poprowadziła Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk, a twórcy publikujący prace w kwartalniku mieli okazję opowiedzieć o swoich literackich doświadczeniach, o tym, jak pracują nad tekstami, czym i kim się inspirowują, co ich cieszy, co intryguje, niepokoi...

Warto wspomnieć o tym, że od ponad dwóch lat, odkąd „Pegaz Lubuski” ukazuje się w nowej odświeżonej formie, pojawiło się na jego łamach miejsce nie tylko dla literatów, ale i dla fotografów, malarzy, grafików, projektantów...

Jest też rubryka „Młodzi piszą”. Budująca była obecność tych młodych ludzi, którzy poczuli się zainspirowani spotkaniem i nawet po nim pytali o możliwość doskonalenia swoich umiejętności pod okiem specjalistów.

Przez cały ubiegły rok, właśnie dzięki inicjatywie i projektowi Agnieszki, odbywały się warsztaty literackie „Padok Pegaza” prowadzone przez Marka Lobo Wojciechowskiego. Owocem tego jest niedawno wydana książka.

Dobra wiadomość jest taka, że w tym roku zajęcia będą kontynuowane i prowadzone przez różnych twórców.

Wielką niespodzianką okazała się statuetka wykonana przez Zofię Bilińską, rzeźbiarkę z Gorzowa. Praca nie jest jeszcze ukończona, ale już wiadomo, że będzie nagrodą dla gorzowskiego środowiska literackiego. Dyrektor WiMBP, Sławomir Szenwald, zapewnił, że statuetka zostanie wręczona pod koniec tego roku.

Było też miejsce na głosy od publiczności. Hanna Kaup zwróciła uwagę na wstępniaki pisane przez redaktorkę naczelną. Zaznaczyła, że to teksty bardzo trafne, idealnie odnoszące się do tematów przewodnich kwartalnika (co od dwóch lat jest nowością), łączące publicystykę ze słowem literackim.

O spotkaniu można by pisać i pisać. Ci, którzy nie byli, niech żałują!

A ci, którzy byli, mieli okazję dostać dodatkowo w prezencie ostatnie numery „Pegaza Lubuskiego” oraz zbiory opowiadań Danuty Szulczyńskiej-Miłosz („Pomiędzy”) i Anety Gizińskiej-Hwozdyk („Bzyczanka na żyrandolu”). Obie książki ukazały się w serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego.

STADIA LUDZKIEJ MARNOŚCI...

Roman Habdas

Z czego biorą się bolączki? Tak nieco dowcipkując, odpowiadam: bolączki biorą się z życia. Dla jednych objawem cierpienia może być usłyszany za plecami chichot czy zauważony rano pryszcz, dla drugich czyjeś utaskawienie, nie mówiąc o glejaku uciśniętym mózgu. Wszystko w zależności od punktu myślenia, widzenia, a nawet... siedzenia. Moje, delikatnie mówiąc, siedzenie schorowane było, po czym naprawione, dobre dwadzieścia lat temu. A kilka lat wcześniej – jak to się innym wydawało, że z nicnierobienia – moje kiszki ochoczo wypęły poza błonę pachwinową, tudzież błony, co najlepiej fachowo określić mógłby kolega literat, a nade wszystko lekarz, w „Pegazie Lubuskim” drukowany. I chociaż napór trzewi utemperowano stosownym zabiegiem, to i tak po latach z ciągniętego nicnierobienia znalazły nową, dla wychynięcia i utworzenia wzgórka, szczelinę. Kiedyś dla niebożątek owej przypadłości udających się na stosowny zabieg potrzeba było tygodniowego hospitalizowania, dzisiaj czekają na przepuklinowców tzw. kliniki jednego dnia, które w cztery godziny, za stosowną odpłatność, ujmą „temat” w siatkę. Po czym żona, syn, kolega albo taksjarski odstawi pacjenta na rekonwalescencję w domowe przytulisko.

Nie wszystkie stany chorobowe ogarniemy szpatułką, szkiełkiem czy okiem. Pomocne bywają wzierniki, ultrasonografy i monitory. Jeszcze do niedawna, a może i nadal, niejedyn z urologów bez pomocy palca odzianego w nitrylową rękawicę nie wyczuwał powiększonego męskiego gruczołu. Badanie mało przyjemne, choć kto wie, czy dla wszystkich facetów, bo przecież odstępstwa bywają. A temat ów dla mężczyzn w kwiecie wieku i starszych, zmagających się z andropauzą, bardzo ważny. Dostyc już męskich zaniedbań i wstydlivości, które pochowały całe kompanie, brygady, a nawet pułki szeregowych ojców, przywódczych wujków i kombatantów dziadków. Świadomość wzrasta. Zatem STOP! dla przedwczesnego chowania się... w urnie bądź trumnie, bo nie brakuje nam szpitali wyposażonych w specjalistyczny sprzęt typu robot chirurgiczny da Vinci oraz operujących za ich pomocą lekarzy.

Niemoc, cierpienie. Już same słowa potrafią boleć. Czy wszystkich? Obserwując rzeczywistość, powiem, że nie. Łatwo przychodzi krytyka, zwłaszcza ta uprawiana jęzorem za plecami onego, z którym stojąc oko w oko, stać nas tylko na przymilny uśmiech i jeszcze bardziej słodkie... tii, tii, tii. Coraz swobodniej przychodzi nam, schowanym za monitorem i stukającym w klawiaturę, pisemna pogarda okazywana ludziom, których ledwo albo wcale nie znamy. I śpią się na portalach pospiesznych, często knajackie treści, w celu zdegradowania i wyciszenia kibica przeciwnej drużyny. Przerazają słowotokiem i wprawiają w niemoc politycy gdakający w telewizyjnych kurnikach. Parszywieją „świeczniki” zawodowo związane z dziennikarstwem, ze sztuką. Jakaż ona? Jacy oni? Choćby jednostkowo, kiedy na posiedzeniu

postowie z hymnem na ustach, a z choroby defektu nie wiedzieć której części ciała, zadek „oficera kultury” do fotela przyssany. Usprawiedliwień na ten czas wiele i wpa-
janych kłamstw, co to prawdą z powielania stawać się mają.

Obok siebie mamy wielu schorowanych. Na stronach Ewangelii zapisano, przy-
chodził do takich Jezus i uzdrowiał. Doświadczyłem. Czyni to nadal. Jednak o ta-
kich, którzy owe wątki przytaczają, zwykli mówić: **nawiedzony**. Nie ukrywam,
z Nauczycielem, który uzdrowiał, jest mi po drodze, ale nie z pogardliwością dla
myślących inaczej. Takim ustępuję pola, przemilczam, nadstawiam drugi poli-
czek. A kończąc szeroki temat wąsko przeze mnie potraktowany, zacytuję z pa-
mięci ustyszaną lub przeczytaną wypowiedź Piotra Zaremby, polskiego history-
ka, dziennikarza, publicysty, komentatora politycznego i krytyka teatralnego:
Potrzeba dopiero internetu, aby poznać ważne stadia ludzkiej marności.



Foto: Hanna Kaup

KWARTAŁ U HERBERTA

Gabriela Rodak

WYSTAWY

9 listopada 2023 roku odbył się wernisaż wystawy „Odłot. Obiekty – instalacja” Michała Bajsarowicza, gorzowianina, autora licznych wystaw indywidualnych w kraju i za granicą. Artysta podczas wernisażu zadbał o niezwykłą aurę – oprawa muzyczna współgrająca z recytacją wierszy wykonaną przez aktora Jana Mierzyńskiego została dopełniona przez specjalne oświetlenie. Poza instalacją, eksponowano również obrazy artysty.

17 listopada 2023 roku, na II piętrze Książnicy Herberta, w Galerii pod Kopułą Żaneta Chłostowska-Szwaczka przedstawiła wystawę obrazów pod tytułem „Kobieta Prawdziwa”. To ostatnia wystawa zorganizowana u nas przez Zbigniewa Olchowika, artystę plastyka, wieloletniego pracownika biblioteki.

W Galerii Krąg przy Ośrodku Integracji i Aktywności w grudniu po raz czternasty otwarto wystawę prac plastycznych podopiecznych Stowarzyszenia na Rzecz Osób z Autyzmem z Gorzowa Wielkopolskiego.

W Filii nr 10 w Galerii Jednego Obrazu prezentowano obraz „Postać w czepcu” – pracę Patryka Bosco. Filia nr 1 wystawiła prace Marii Stachowiak, na których ukazane są wyhaftowane samochody, motocykle, lokomotywy i rowery.

15 stycznia 2024 roku zaaranżowano wernisaż wystawy pt. „Historia Biblii i rozwoju piśmiennictwa. Kolekcja inkunabułów Książnicy Kopernikańskiej oraz zabytki piśmiennictwa w zbiorach Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Z. Herberta w Gorzowie Wielkopolskim”. Po wystawie oprowadzał gości jej pomysłodawca i wykonawca – Dariusz Czyszczoń. Wystawa prezentuje historię piśmiennictwa na przykładzie Biblii oraz sposób, w jaki przez 3,5 tysiąca lat Księga była tworzona, przepisywana i drukowana. Zaprezentowano również wyjątkową kolekcję zabytków piśmiennictwa, która znajduje się w zbiorach Biblioteki Herberta.

18 stycznia 2024 roku w Galerii Krąg w Bibliotece Herberta swoje obrazy zaprezentowała Teresa Mika podczas wernisażu wystawy „Moje Pasje”. Artystka mieszka i tworzy w Witnicy, a jej prace ukazują się na wystawach zarówno w Polsce, jak i za granicą.

NOWA MARCHIA

24 listopada 2023 roku w ramach cyklu „Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie” dr Dariusz Piasek prowadził wykład potoczony z promocją jego publikacji pt. „Średniowieczne kościoły granitowe Pomorza Szczecińskiego i Nowej Marchii”. Tematyka prelekcji była ściśle związana z problematyką wspomnianej książki.

12 grudnia 2023 roku w gorzowskiej Bibliotece pojawił się Zbigniew Rokita, reporter i redaktor, laureat Nagrody Literackiej Nike w 2021 r. Autor zaprezentował swoją najnowszą książkę pt. „Odrzania. Podróż po Ziemiach Odzyskanych”. Moderatorem był dr hab. prof. UZ Marceli Tureczek.

23 stycznia 2024 roku odbyło się 200. spotkanie w ramach cyklu „Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie”. Dotychczasowe zebrania w formie

prezentacji podsumowała Grażyna Kostkiewicz-Górska. O znanych i nieznanach architektach oraz ich spuściźnie na terenie Nowej Marchii opowiedział Błażej Skaziński, kierownik gorzowskiej delegatury Lubuskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków.

VARIA

W Filii nr 1 obchody Święta Niepodległości uświetnił występ chóru Cantabile Miejskiego Centrum Kultury. Chór pojawił się również miesiąc później, wypełniając filię świąteczną atmosferą w ramach koncertu koled.

9 listopada 2023 roku w Książnicy odbył się wykład Krzysztofa Korsaka pt. „Ktoś Cię obraża? Po tym spotkaniu to Cię już nie ruszy!” dotyczący sposobów reagowania na hejt. Ponad 200 uczniów gorzowskich szkół średnich słuchało prelekcji o mowie nienawiści.

17 listopada 2023 roku w ramach warsztatów grono naukowców akademickich oraz dydaktyków zaprezentowało książkę „Dziedzictwo Ziemi Lubuskiej. Dzieje i kultura”. Ideą wydania publikacji jest chęć wplatania wiedzy o regionie w program nauczania historii. Podczas warsztatów omówiono poszczególne zagadnienia z zakresu historii regionu.

17 listopada 2023 roku WIMBP w Gorzowie zaaranżowała galę III Ogólnopolskiego Konkursu im. Jana Grossa. Odczytano fraszki nagrodzonych i zaproszono laureatów na scenę. Następnie zagrał zespół Blue Weather, którego członkiem jest Sebastian Gross – syn Jana Grossa. Na koniec rozdano publikację pokonkursową „Grossowanie, czyli fraszkopisanie”.

17 listopada 2023 roku w Filii nr 8 entuzjaści literacy rozmawiali o życiu i twórczości Leopolda Staffa, upamiętniając 145. rocznicę jego śmierci. Spotkanie prowadziła Krystyna Jarosz. 8 grudnia odbył się podobny wieczór poetycki, a omawianym poetą był Konstanty Ildefons Gałczyński.

Poranek Poetycki, który miał miejsce 23 listopada 2023 roku, był sposobnością do zapoznania się z twórczością poetów z niepełnosprawnościami. Swoje wiersze zaprezentowali: Marek Kotodziej, Krystyna Polewska oraz Norbert Edward Miko. W części artystycznej wystąpili uczestnicy Środowiskowego Domu Samopomocy z Witnicy.

28 listopada 2023 roku w gorzowskiej Bibliotece Klub na Zapiecku zorganizował wydarzenie „Reportaż radiowy – teatr wyobraźni”, na które zaproszono reportażystkę radiową Izaabelę Patek oraz śpiewaka barytonowego Andrzeja Batora. Publiczność wysłuchała reportażu „Jeszcze do Ciebie wrócę, Polsko” oraz kilku utworów wykonanych przez artystę.

W miesiącach sierpień – grudzień Książnica Herberta wzięła udział w akcji „Podaruj wiersz” zainicjowanej przez Fundację im. Zbigniewa Herberta. W gmachu głównym powstały dwa stanowiska do realizacji inicjatywy. Zebrane wiersze zostały przewiezione i przekazane na ręce Barbary Kałużnej – dyrektorki Domu Pomocy Społecznej nr 1 im. Marie Juchacz w Gorzowie.

7 grudnia 2023 roku w Willi Lehmana zorganizowano spotkanie pt. „Dlaczego w grudniu jemy pączki, czyli o Chanuce, żydowskim kalendarzu i społeczności żydowskiej we współczesnej Polsce”. Gościem była Dagmara Mańka-Wizor z Muzeum Historii Żydów Polskich Polin, dzięki której uczestnicy spotkania mieli sposobność bliżej poznać kulturę żydowską.

14 grudnia 2023 roku odbyła się promocja „Pegaza Lubuskiego” (4/95). Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk oraz Beata Igielska przedstawiły zebranym zawartość grudniowego wydania, które ukazało się w podwójnej objętości. Następnie A. Moskaluk zaprosiła do rozmowy Danutę Szulczyńską-Miłosz. Dialog z pisarką dotyczył jej dotychczasowej oraz przyszłej twórczości. Każdy ze zgromadzonych otrzymał najnowszą publikację autorki „Pomiędzy”.

27 grudnia 2023 roku w Książnicy Herberta obchodzono Narodowy Dzień Zwycięskiego Powstania Wielkopolskiego. Oprawę muzyczną przygotowała Orkiestra Dęta OSP Siedlice dyrygowana przez Grzegorza Krzeskiego. Auditorium wysłuchało również fragmenty pamiętników gen. broni Józefa Dowbor-Muśnickiego czytanych przez Grzegorza Urbanka z Działu Zbiorów Regionalnych WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim.

4 stycznia 2024 roku w holu Biblioteki miało miejsce wielokulturowe wydarzenie „Słowo i muzyka na Nowy Rok”. Oddział Dziecięcy przygotował warsztaty tworzenia ozdób świątecznych, Ośrodek Integracji i Aktywności zaprosił na dekorowanie pierników, a Dział Zbiorów Specjalnych zorganizował czytanie poezji oraz świąteczne karaoke z Anną Porowską i Krzysztofem Szymkowiakiem. Poeta Rafał Piechocki czytał utwory z tomiku poetyckiego „W cichą noc”.

SPOTKANIA AUTORSKIE

20 listopada 2023 roku Książnica gościła Helenę Dobaczewską-Skonieczkę – poetkę, eseistkę, animatorkę kultury. Spotkanie zorganizowane zostało przez Związek Literatów Polskich – Oddział w Gorzowie Wielkopolskim i poprowadzone przez Agnieszkę Kopaczyńską-Moskaluk. Głównymi tematami rozmowy była sylwetka dziadka pani Heleny – dobrze znanego gorzowianom Włodzimierza Korsaka, a także twórczość własna poetki.

22 listopada 2023 roku w Filii nr 6 odbyło się spotkanie z Olgą Smolec-Kmoch – korektorką, rosjoznawczynią i właścicielką wydawnictwa „Na Szczęście”. Rozmawiano o istocie pracy wydawniczej, sytuacjach typowych podczas współpracy z autorami, a także o gotowaniu czy pracy bibliotekarza.

27 stycznia 2024 roku gościem Biblioteki Herberta była Anna J. Dudziak. Autorka rozmawiała o swojej książce „Znikając. Reportaże o matkach”. Poruszono wiele ważnych aspektów życia lekceważonych i marginalizowanych grup społecznych.

FESTIWALE

23 listopada 2023 roku w sali nr 102 Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta otwarto V Lubuski Festiwal Słowa „Warto czytać nad Wartą”. Gościem wieczoru był prof. dr hab. Jan Miodek. Profesor wygłosił prelekcję na temat wpływu anglicyzmów na współczesny język polski. Wykład cieszył się ogromnym zainteresowaniem – na sali obecnych było ponad 200 czytelników. Spotkanie zostało sfinansowane ze środków Departamentu Stanu USA w ramach programu „Ameryka w twojej bibliotece”. 25 listopada kontynuowano festiwal. Na scenie pojawiło się wielu znanych autorów. Dorota Karaś i Marek Sterlingow zaprezentowali swoją najnowszą wspólną książkę będącą reporterską biografią Jerzego Urbana. Joanna Kuciel-Frydryszak mówiła o bestsellerowej książce „Chtopki. Opowieść o naszych babkach”. Wacław Radziwinowicz przedstawił swoją najnowszą publikację pt. „Putin, car Atlantyd. Droga do wielkiej wojny”. Martyna Jakubowicz, znana przede wszystkim jako wokalistka, na spotkaniu w Bibliotece Herberta pojawiła się w roli autorki biograficznej książki „Trudna sztuka latania”. Czytelnicy mogli również wysłuchać czytania performatywnego. Lektorami byli: Andrzej Ferenc, który przeczytał fragmenty powieści zeszłorocznego laureata Literackiej Nagrody Nobla Jona Fosse oraz Lech Dyblik, który przeczytał fragment książki o Putinie. Moderatorką spotkań była Kinga Konieczny. Wydarzenie współfinansowano ze środków Instytutu Książki w ramach programu Dyskusyjne Kluby Książki.

JERZY ALSKI: pisarz, felietonista, kompozytor, myśliciel. Członek ZLP. Miłośnik życia i uważny obserwator ludzkiej natury. Mieszka w Myśluborzu. Wydał kilka powieści, m.in.: *Za dużo miłości* (2011), *Prezent* (2012), *Mowa pogrzebowa* (2017), *Ekosystem* (2019), *Zachwyty* (2021), *Lot* (2021), *Kobiety i Grześ* (2022).

Alter ego uznanego lekarza Krzysztofa Ansilewskiego.

ANNA DOMINIĄK – polonistka, recenzentka poezji i prozy, autorka wierszy. Publikuje na łamach ogólnopolskiej i lokalnej prasy literackiej. Pracuje w Liceum Ogólnokształcącym w Świebodzinie.

Dr MACIEJ J. DUDZIAK: antropolog kultury, kulturoznawca i eseista. Specjalizuje się w problematyce tożsamości kulturowych w XX i XXI wieku, form wspólnotowych oraz kondycji kultury. Autor wielu artykułów naukowych i popularnonaukowych oraz książek, m.in. *Syberia, Poza życiem* (1999), *Pejzaże (po)granicza* (2007), *Hermeneutyka pogranicza* (2011), *Czytać Europę. Flaneur w ogrodach pogranicza* (2014). W 2019 roku ukazała się jego pierwsza powieść *Mesjasz. Rękopis zbrodni*. W 2021 roku Maciej Dudziak, bazując na notatkach Alfreda Szklarskiego, wydał 10. tom przygód z cyklu o Tomku Wilmowskim pt. *Tomek na Alasce*.

ŁUCJA FICE: poetka, eseistka, pisarka. Autorka cyklu powieści emigracyjnych o opiekunkach i pielęgniarkach pracujących w Europie po 2004 roku (*Przeznaczenie; Wyspa starców; Za kryształowym lustrem*) oraz wspomnień *Druga strona grezchu* i trzech tomików poezji. Członkini ZLP i RSTK. Nagrodzona przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego medalem Zasłużony dla Kultury Polskiej. Uczestniczka programu „Emigrantki własnym głosem” na Festiwalu Emigracji w Gdyni. Laureatka konkursów ogólnopolskich.

ANETA GIZIŃSKA-HWOZDYK: nauczycielka języka polskiego i rosyjskiego w II LO w Gorzowie. Opiekunka szkolnego koła teatralnego i grupy początkujących literatów. Autorka nagradzanych opowiadań i matych próz. Wydała zbiory opowiadań *Biedroneczko, leć do nieba* (2010) oraz *Bzyczanka na żyrandolu* (2023).

FERDYNDAN GŁODZIK: poeta, satyryk, członek ZLP i RSTK. Własnym nakładem wydał kilka arkuszy z tekstami satyrycznymi, a w 2006 roku zadebiutował oficjalnym tomikiem *Winien i ma*. Wydał również tomiki: *Własnym nosem* (2011), *Szachy na lachy* (2014), *Fredność i przeche-ra* (2016) oraz *Księga imion* (2017). Laureat nagród i wyróżnień. Miłośnik szachów i jogi.

WALDEMAR RYSZARD GWIZDAŁA: rodowity skwierzynianin. Z zawodu technik mechanik, z zamiłowania motocyklista, gitarzysta i certyfikowany fotograf hobbysta. Przygodę z fotografią analogową rozpoczął w 1980 roku. Po latach przerwy zajął się fotografią cyfrową. Ciekawo go natura i jej zmienność. Jego fotografie wzbogacają ten numer „Pegaza Lubuskiego”.

GREEN SIMON: gorzowski artysta hip-hopowy, model, aktor i organizator imprez, znany z pasji do koloru zielonego.

Jego futurystyczna wszechstronność artystyczna zaskakuje i wzbogaca lokalną scenę kulturalną. Wspólnie z lokalnymi artystami tworzy grupę Landsberg Familia.

ROMAN HABDAS: urodzony w 1956 roku w Mosinie koło Poznania, w Gorzowie mieszka od 1978 roku. Z zawodu technik technologii żywienia i mistrz kelnerski. Pasjonat wędkarstwa spinningowego. Wydał cztery tomiki wierszy, ostatnio *Ludzie i rzeki, rzeki i ludzie* (2017). Autor dwóch książek prozatorskich: opowieści *Mały Paryż* (2015) i zbioru opowiadań *Żgajoki i inne opowiadania* (2019). W 2012 roku opracował i wydał *Stacje Drogi Krzyżowej* z tłumaczeniem na język litewski. Członek ZLP.

JERZY HAJDUGA: poeta, publicysta. Ksiądz katolicki. Wiersze publikował między innymi w „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Literaturze”, „Więzi” i „Frazie”. Wydał ponad 20 tomików poetyckich; najnowsze to: *Od początk od cudu* (2015), *Współbrzmienie* (2016), *Jeszcze* (2018), *Zatrzymać z czasu chwile* (2018), *Listy na stół* (2019), *Uważaj na siebie* (2020) oraz *Zostań i takie twoje odchodzenie* (2022) Jest autorem scenariusza spektaklu poetyckiego *Ten pusty krzyż* wystawionego w olsztyńskim Teatrze im. Stefana Jaracza (1991). Prowadzi blog JerzyHajduga.pl.

BEATA IGIELSKA: dziennikarka, publicystka, recenzentka współpracująca z kilkoma wydawnictwami, poetka. Autorka dwóch książek, współautorka i redaktorka wielu antologii. Laureatka ponad trzydziestu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich. Prowadzi na FB grupę Książkowiczy. Od 2021 wiceprezesa gorzowskiego oddziału Związku Literatów Polskich i zastępczyni redaktor naczelnej „Pegaza Lubuskiego”.

JANINA JURGOWIAK: nauczycielka, poetka, satyryczka. Członkini Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury i Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Jej teksty znalazły się w czasopiśmie i antologii *Poetycki portret miasta Gorzowa i jego mieszkańców*. W 2018 roku wydała zbiór wierszy *Odroczenie*.

HANNA KAUP: nauczycielka, dziennikarka, poetka, społeczniczka. W latach 2005-2009 była redaktorką naczelną tygodnika „Ziemia Gorzowska”, obecnie prowadzi portal www.egorzowska.pl. W l. 2004-2005 (wraz z Markiem Piechockim) realizowała w Jazz Clubie Pod Filarami interdyscyplinarne wydarzenia kulturalne Re-animacje Sztuki. W 2005 roku założyła Grupę Literacką Wiądzadło działającą przy Stowarzyszeniu Twórczym Wena. Pomysłodawczyni (wspólnie ze Stowarzyszeniem Ruchu Miejskiego Ludzie dla Miasta) i redaktorka wydawnictwa Dariusz Kostrzewa, czyli gorzowskie historie w karykaturze (2021). Od 2016 roku tworzy (wspólnie ze Stowarzyszeniem św. Eugeniusza de Mazenoda) biuletyn „Łączą nas ludzie i miejsca”. Autorka tomiku poezji *44 zaskoczenia* (2003) oraz opowiadań włączonych do tomu *Świat i ja, moje dobre i złe dni* (2004). W tym roku otrzymała Stypendium Artystyczne Prezydenta Gorzowa, dzięki któremu wyda *Rozmowiastki*.

BEATA PATRYCJA KLARY-STACHOWIAK: poetka, krytyczka literacka, animatorka kultury. Autorka kilkunastu tomików

poetyckich, m.in. *Szczekanie głodnych psów*, *De-Klaracje*, *Misterium Solitera*, *Martwia*, *Lęgnia* oraz książki kulinar-no-poetyckiej *Wege nad Wartą*. Stypendystka Stowarzyszenia ZAIKS, Fundacji im. W. Szymborskiej, Miasta Gorzowa Wielkopolskiego, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Zdobywczyni Nagrody Kulturalnej Prezydenta Gorzowa – MOTYLA. Laureatka wielu konkursów literackich, w tym dwukrotnie Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.

TOMASZ KORBANEK: poeta. Gorzowianin. Przez lata członek nieformalnej grupy Poeci Okrągłego Stotu. Zadebiutował w „Pegazie Lubuskim”, jego wiersze ukazały się też w antologii *Słowa rodzaj wiersz* (2010). W 2014 roku, w ramach Portfela z wierszami Poetów Okrągłego Stotu, ukazał się jego tomik *Krajobraz z brzoza*.

JULIA KRUSZAKIN: gorzowianka. Absolwentka III LO studiująca komparatystykę na UJ w Krakowie. Współtwórczyni strony www.zabytkigorzowa.pl. Jej tekst zadebiutował na łamach czasopisma „Pro Libris”.

AGNIESZKA MOROZ: literaturoznawczyni z tytułem doktora w dziedzinie nauk humanistycznych, poetka, krytyczka literacka i recenzentka teatralna. Autorka czterech książek poetyckich, monografii naukowej *Jak uwieść czytelnika? Jonathan Carroll i Andrzej Sapkowski wobec kulturowych koncepcji śmierci* oraz licznych artykułów literaturoznawczych. Stypendystka Marszałka Województwa Lubuskiego i (dwukrotnie) prezydenta Gorzowa. Laureatka wielu konkursów poetyckich. Prowadzi na instagramie profil Potawiaczka książek (@polawiaczka_ksiazek), na którym aktywnie promuje czytelnictwo i doradza początkującym poetom.

BARTEK ORZĘŁ: mieszka w Przytocznej. Autor tekstów i kompozytor, ma na swoim koncie ponad sto piosenek. Podróżnik i obywatel, wielbiciel Gruzji. Instruktor harcerski, konferansjer oraz organizator imprez rozrywkowych i kulturalnych. Zadebiutował, mając 19 lat – jest współautorem antologii poezji miłosnej *Z wichru splotnie moja miłość*.

RENATA ELŻBIETA PALIGA: doktor nauk medycznych, lekarz: specjalista medycyny rodzinnej, pediatra, chirurg dziecięcy. Zakres zainteresowań badawczych dotyczy zagadnień etyki lekarskiej oraz historii medycyny. Autorka kilku monografii (np. *Krwiodawstwo i krwiolecznictwo w medycynie polskiej XIX i pierwszej połowy XX wieku*, Zielona Góra 2014, *Od powietrza ognia głodu i wojny... Historyczne aspekty zarządzania epidemiami*, Bernardinum, Peplin 2020, *Wojny i epidemie w dziejach Rzeczypospolitej, dżuma, cholera, tyfus*, PWN, Warszawa 2022) oraz kilkunastu prac (artykułów, doniesień pokonferencyjnych, monografii współautorskich). Laureatka ogólnopolskich konkursów poetycko-prozatorskich. Należy do Związku Literatów Polskich, Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, Polskiego Towarzystwa Farmaceutycznego.

Z. MAREK PIECHOCKI: poeta i prozaik. Propagator muzyki klasycznej. Laureat Nagrody im. Janusza Stowika (2007) i Motyla – Nagrody Kulturalnej Prezydenta Gorzowa Wielkopolskiego (2012). W 1998 roku wydał pierwszy

tomik wierszy *Zaistniałem, a jego Sytuacje* (2009) był nominowany do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. W 2010 ukazały się Listy hipotetyczne.

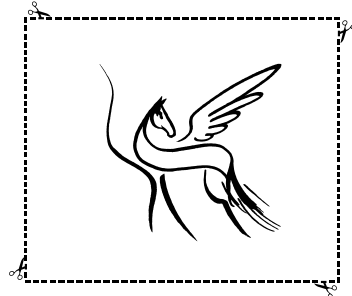
Miłośnik i znawca muzyki klasycznej i fortepianowej. W 2012 roku odczytał i wydał Drzwi otwarte na nicłość – częściowo zniszczone rękopisy wierszy żydowskiej poetki Melanii Fogelbaum, znalezione po wojnie w łódzkim getcie. Rok później ukazał się zbiór próz poetyckich *Powrót Melanii Fogelbaum*. W 2017 roku wydał tomik wierszy *Przedstawienia*, a w 2023 – *Listy po czasie*.

MARIUSZ SOBKOVIK: redaktor naczelny Gorzowskiego Magazynu Fantastycznego „LandsbergON” oraz czasopisma regionalnego „Młody Lubuszanin”. Laureat konkursów literackich, autor książki *Opowieści z czasów zaryzy*, która była nominowana do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. W 2023 roku wspólnie z żoną Aleksandrą napisał przewodnik po regionie *Niesamowite Lubuskie: notatki z podróży*. Prezes Stowarzyszenia NOVUM, zakochany w Gorzowie i jego historii.

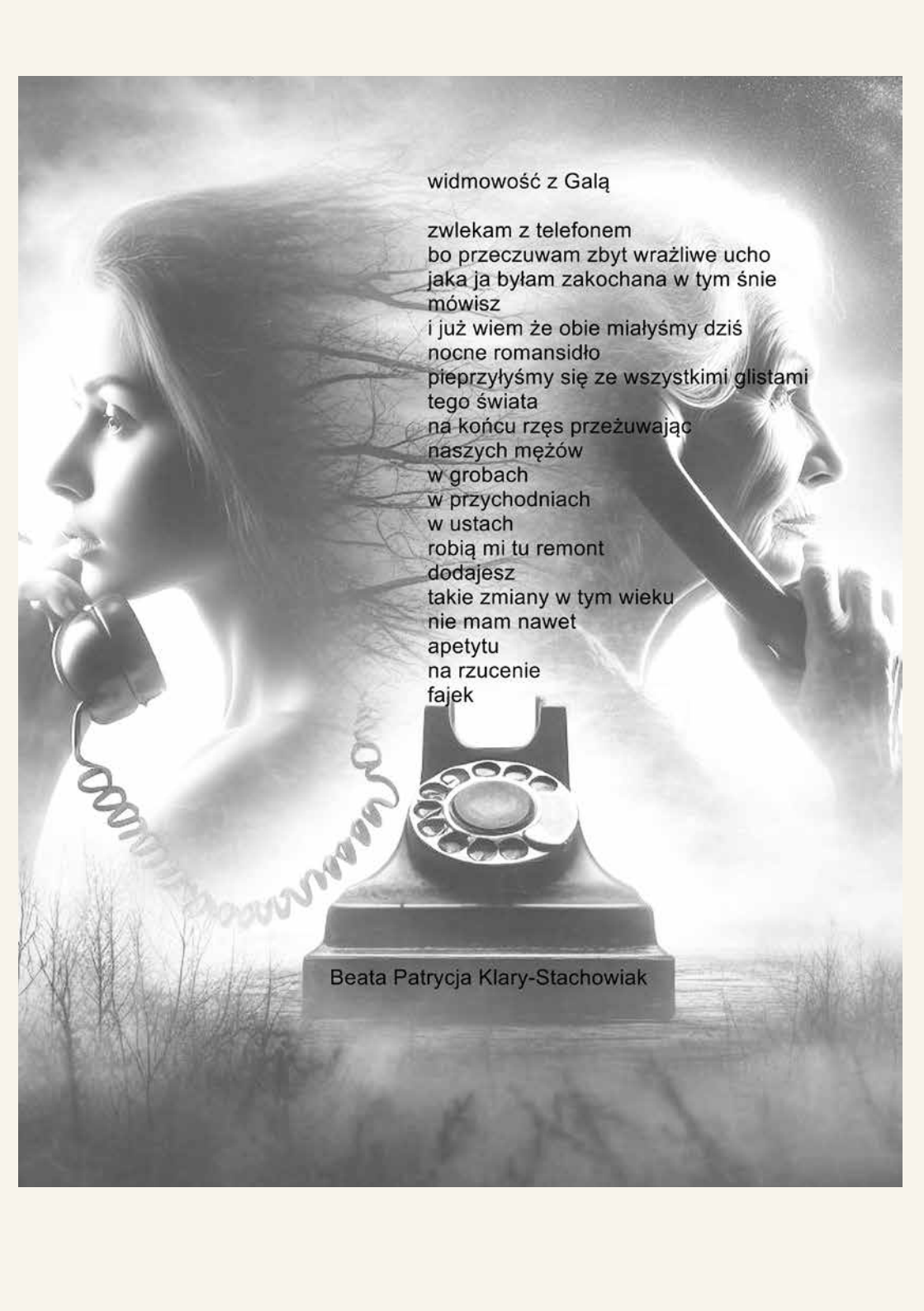
MAREK LOBO WOJCIECHOWSKI: poeta, prozaik, autor tekstów piosenek. Były żołnierz zawodowy, absolwent Wyższej Szkoły Wojsk Inżynierskich we Wrocławiu. Autor pięciu tomików poetyckich: *Suplement i Z wędrowek po okolicy* (2007), *Ektoplazma* (2009), za który otrzymał Lubuski Wawrzyn Literacki, *Krwiobieg* (2017) i *Dzień kreta* (2019), za który otrzymał drugi Lubuski Wawrzyn Literacki. Laureat wielu ogólnopolskich konkursów literackich. *Rozdanie* (2021) to jego debiut prozatorski. W 2023 roku prowadził w Bibliotece Herberta warsztaty literackie *Padok Pegaza*.

ZBIGNIEW WITOSŁAWSKI: urodził się w Łodzi, dorastał w Gdańsku, a niemal całe życie zawodowe związał z Gorzowem. Literat. Satyryk. Laureat ponad 40 nagród i wyróżnień, m.in. II nagrody w II Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Jana Grossa.

JOANNA ZIEMBIŃSKA-KUREK: doktor nauk humanistycznych, poetka, nauczycielka, regionalistka, członkini ZLP. Wydała kilka książek, m.in.: *Kobieta pisze wiersz* (1997), *Ślad na piasku* (2002), *Alchemia przestrzeni* (2004), *Odkrywanie miejsca – odkrywanie siebie, czyli banaty i rewelacje* (2004), *Uroczysko* (2004), *Miejskie wiersze o przedmiotach* (2007). Od 2010 roku mieszka w stolicy Szwecji, gdzie uczy języka polskiego.



OD REDAKCJI	
Agnieszka Moskaluk: CHOROBA / NIEMOC	1
WIERSZ NA OTWARCIE	
Jerzy Hajduga: I W CHOROBIĘ... ..	2
Identyfikator	2
Płyn do ust dezodorant	2
Tyle mnie we krwi	2
TEMAT NUMERU: NIEMOC / CHOROBA	
Renata Paliga: TRAKTAT O PODRÓŻY	4
POEZJA	
Marek Lobo Wojciechowski: 84	10
OPOWIADANIE	
Hanna Kaup: PLAN	11
Jerzy Alski: HANIA	16
OPWIEŚĆ	
Joanna Ziemińska-Kurek: GDZIEŚ JEST	23
POWIEŚĆ (FRAGMENT)	
Maciej J. Dudziak: KULTURA JAKO CHOROBA PRZENOSZONA DROGA SPOŁECZNĄ	25
POEZJA	
Janina Jurgowiak: COŚ NIE TAK	29
WYBACZYĆ	29
NIE MA	29
SAMOTNIA	29
OPRÓCZ ŻYCIA NIC	30
TURNUS REHABILITACYJNY	30
OPOWIADANIE (FRAGMENT)	
BEATA IGIELSKA: PRZEBIŚNIEGI	31
WIERSZE	
Z. Marek Piechocki: Sytuacja 30	39
*** [„Dopiero teraz to wiem...”]	39
*** [„Od lat...”]	39
OPOWIADANIE	
Aneta Gizińska-Hwozdyk: KAWAŁEK NIEBA	40
OPOWIADANIE	
Mariusz Sobkowiak: O CHŁOPCU, KTÓRY W NIEDZIELĘ SPACEROWAŁ ZE SWOIM TATĄ, ZARAZ PO MSZY	42
MŁODZI PISZĄ	
Julia Kruszak: WIERSZE	46
wieczór w pustkach	46
preludium świtu	46
pod sklepieniem drzew	46
Green Simon: WIERSZ, KTÓRY NIE MA TYTUŁU	47
POEZJA	
Bartek Orzeł: WIERSZE	48
*** [„miałaś szczęście poznać...”]	48
NIEODPOWIEDZIALNY STRAŻNIK	48
SATYRA	
Ferdynand Głodzik: KORONAWIRUS W KACZYM SERAJU	49
WIERSZE	
Zbigniew Witostawski: PRESTIDIGITATOR	50
DIAGNOZA	50
POEZJA	
Tomasz Korbanek: NELA	51
FELIETON	
Łucja Fice: CHOROBA A FIZYKA I MITOLOGIA	52
RECENZJA	
Anna Dominiak: O OBECNOŚCI NIEOBECNYCH	53
Agnieszka Moroz: STARA KOBIETA CZYTA BAJKI	55
KARTKA Z PAMIĘTNIKA	
Helka Cąkała: 30 kwietnia 1997	58
RELACJA	
Beata Igielska: PEGAZOWO, ZAPIECKOWO, WSPOMNIENIOWO... ..	60
PROSTO Z WINDSORU	
Roman Habdas: STADIA LUDZKIEJ MARNOŚCI... ..	61
KWARTAŁ U HERBERTA	
Gabriela Rodak: KWARTAŁ U HERBERTA	63



widmowość z Gałą

zwlekam z telefonem
bo przeczuwam zbyt wrażliwe ucho
jaka ja byłam zakochana w tym śnie
mówisz
i już wiem że obie miałyśmy dziś
nocne romansidło
pięprzyłiśmy się ze wszystkimi glistami
tego świata
na końcu rzesz przezuwając
naszych mężów
w grobach
w przychodniach
w ustach
robią mi tu remont
dodajesz
takie zmiany w tym wieku
nie mam nawet
apetytu
na rzucenie
fajek

Beata Patrycja Klary-Stachowiak



PADOK PEGAZA 2024

warsztaty literackie ZLP z Beatą Igielską
pod hasłem A JEDNAK...

18 KWIETNIA 2024

17:00

WIMBP W GORZOWIE

UL. SIKORSKIEGO 107

SALA NR 8

Piszesz? Chcesz popracować nad
swoim warsztatem?

Te zajęcia są dla Ciebie!

Przygotuj wiersz lub tekst
prozatorski (1600-2000 znaków)
pod hasłem A JEDNAK... i przyjdź
na spotkanie, które poprowadzi
doświadczona edukatorka
i literatka Beata Igielska.

Podczas warsztatów będziemy
czytać przygotowane przez
uczestników teksty
i wspólnie poddawać je analizie.

Zapraszamy! Przyjdź! Baw się
słowami! Pracuj nad stylem!